



BIBLIOTEKA

DZIEL WYBOROWYCH

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Wydawnictwo tygodniowe

**Redaktor i Wydawca
Feliks Gadomski**

Rok III. Tom XXXVII.

Ogólnego zbioru serja III, tom CII.

1926 r.

**Cena tomu w prenumeracie:
w oprawie . . zł. 1.39**

**Cena tomu poza prenumeratą:
w oprawie . . zł. 2.20**

**Redakcja i Administracja
Warszawa, Sienkiewicza 12**

J. IGN. KRASZEWSKI

DJABEŁ

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

Tom IV.

1927

**WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, SIENKIEWICZA, 12.**

PRINTED IN POLAND
COPYRIGHT BY
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WUZE
JIK
ROMANOWICZ
MW/M 4376

I.

Są ludzie, dla których najmniej miłym towarzystwem są własne ich myśli, — męczą się nimi i nudzą, bo im powtarzają rzeczy niemiłe, oklepane, naprzykrzone. Radziby od nich uciec i szukają sobie byle jakiej rozrywki, byle jakiego towarzystwa, aby się wyrwać z objęcia tych dotkliwych dumań. Człowiek tylko wytrawny, co dobrze pracował nad sobą, obcować dłużej sam na sam ze swoim *ja* potrafi. Pospolici ludzie w niedostatku hałasu wołają sen i śmierć chwilową, niż tę walkę z nastrojącącymi im się myślami, płynącymi wśród ciszy wrzawliwym potokiem. Cóż się to z nimi dziać musi, gdy ich zmiana położenia, nieuchronna konieczność, postawi w takiej kolei, że uniknąć nie mogą trawienia się w sobie, i własnego towarzystwa? Przywykli do ciągłych roztergnięć, do gwaru co im głuży głosy wewnętrzne, nagle w ciszy osamotnienia znajdują się, jak w pustyni otoczeni widziadłami, które stwarza milczenie i stępy. Rzucają się naówczas przerażeni bijąc, jak zwierzę dziki, którego w klatce zamknięto, dopóki zraniwszy się o szczeble żelazne, nie legną zwyciężeni bezsilnością. Czasem z położań takich wychodzą ludzie lepszymi, gdy przetrwawszy bój i boleść, staną na szczyblu zgody z samymi sobą i głosem Boga, mówiącym im przez

ich sumienie; często też padają pod ciężarem kaidan, gdy dusza nie przygotowana poprzedniem życiem, o swych siłach ostać się nie potrafi. Samotność bywa wielka podnieta do dobrego, ale wielkiem niebezpieczeństwem.

Wszystkie tam widziadła przeszłości występują na niej szeregami, wszystko co człowiek utracił, czego nie posiadał, co przebolewał, co mu z rak dotknięte ledwie, uciekło, — dreczy go, wabi, niepowrotnością zrozpacza. W szale czasem obraca się ta rozmowa z sobą, gdy jej dusza i serce nie podołają — rozprzeżną się myśli rozkiełzane, poniosą, polecą — nie połapać ich już potem.

Samotność, powiedział ktoś z chrześcijańskich pisarzy, dobra jest tylko z Bogiem, bez niego szatani ją zaludniają.

Wyobrazić sobie można, co się działo z podczasem, za którym nagle zamknęły się drzwi klasztorne, za nim, co nie znał zamknięcia i samotności, nie próbował myślenia, nie chciał zastanawiać się nad sobą, pragnął używać nie pytając końca, bo wewnątrz nie wierzył, lub spojrzeć mu w oczy nie czuł odwagi. Sam z sobą, z książką pobożną, z widokiem smutnym, z drażniącym zdala gwarem ulicy, która słyszał widzieć nie mogąc, z bliższym szmerem modlitwy, niekiedy chwilową rozmową z ks. Spirydjonem — jak ten zwierz, do któregośmy porównywali samotnika, bił się o mury ciasnej celi, nie mogąc w niej niepokoju swego pomieścić. Przywykły do gwaru, utonął tu w głuchem milczeniu — coraz to chwytał książkę, ale słowa w niej nie rozumiał, bo ona i on daleko byli od siebie.

Całym zapasem były dlań wspomnienia przeszłości, ale wypadkiem dziwnym, on, co wedle siebie począł dopiero żyć w mieście, i to, jak mówił, świata

skosztował, kiedy szedł czerpać z skarbnicy pamiątek, we wspomnieniach tych chwil szale, znajdował tylko martwe, zeschłe szczęty, z których na pokarm dzisiejszy kropli nie umiał wycisnąć. Myśl jego musiała się zwracać do epoki życia, na pozór dlań pustej, częściej i bezbarwnej na której grobie kwitły mu jeszcze pełne woni kwiaty.

Z życia wczorajszego, jak po spalonym fajerwerku, nic nie pozostało prócz trochy swędu i dymu — z tych miłości kilkuniedniowych, z tych zabaw odurzających, z tych szalonych nocy strawionych z kielichem, wrzących ochotą, proch został i śmiecie — a z chwil młodości, z dzieciństwa, przywalonych całym ciężarem drugiego życia, do których nie przywiązywał ceny, czerpał dziś jeszcze napój rzeźwiący. Do tej przeszłości dawno minionej, zabytej i sponiewieranej, zwracać się musiał co chwila. Serce czy myśl wiodły go do Głuszy, do pokoiku babki, pod straszny obraz patrona, na ów mały stołeczek, na którym siadał u nóg starościny, słuchać jej nauk i powieści, — do Anny i dziecięcych z nią zabawek, których dziś, zawczasu zgrzybiały się wstydy, a wstydząc się, żył jeszcze niemi pokryjomu! Taka to siła chwil życia pocziwych, że przeżyte, jeszcze w sobie mają soki pożywne, — gdy lata poświęcone nasyceniu, płoną na popiół i rozchodzą się z dymem.

Bolał Ordyński w tem zamknięciu, targając próżno więzy swoje, — ale cóż począć było? nie mógł przespać dni całych, musiał je przedumać samotnie. Czasem wychodził na korytarze klasztorne, żeby zyskać więcej przestrzeni i szersze miejsce przebiegać niespokojnymi krokami, — ale i tu myśl jego biła się o obrazy, o pojęcia, czyny dziwnie sprzeczne z tem do czego był nawykł w swem życiu.

Na tych długich, osłoniętych krągankach, spo-

tykał wizerunki świętych mężów, powagą śmierci otoczonych, z których lica biły światłości, przeszłość ofiar i modlitwy. Napróżno chciał się uśmiechnąć, wpatrując w te oblicza, myśląc w duchu: To byli jak my!

Oczy ich, czoła, usta, suknie nawet mówiły, że to nie dzisiejsi i nie pospolici byli ludzie, — ugiął głowę mimowolnie i mijał ich niespokojny. Spotykał dalej obrazy męki Chrystusa, które do oziębłego serca nic jeszcze przemówić nie mogły, — czytał napisy pełne pobożności, namaszczenia, lub groźby przerażającej, — ale rzadko co doszło przez oczy omglone do duszy jego, częściej uśmiech szyderski błakał się jeszcze po ustach. Obawiał się nawrócić, aby śmiesznym nie został!!

W końcu korytarza, po którym najczęściej, nie chcąc być widzianym, przechadzać się musiał podczaszyc, był wielkimi głoskami napis pełen rzewności i głębokiego uczucia, który nieustannie w oczy mu wpadając, utkwiał nareszcie w pamięci, tak, że pozbyć się go nie mógł, bo mu wciąż mimowolną modlitwą na ustach się błakał.

Trafia się, samotnikom zwłaszcza, że wyraz jakiś, dźwięk, słowo, twarz tak uwięzną w nich, jak uparta kość co w gardle zastrzęgnie, i pozbyć się ich nie można. Czasem to igraszka wyobraźni, dzieło próżnowania, częściej odpychana i nie pojęta przestroga. Podczaszyc tak właśnie męczył się tym napisem, jak zdławiony kością, choć go powinien był ukochać i zapamiętać. Pobożny ten wykrzyk jakiś widać zakonnik wyrył tu dla przechodzących u stóp Chrystusowego krzyża, aby go powtarzali jako najstosowniejszą do czasów modlitwę. Były to słowa z głębi duszy wyrzeczone, natchnione razem uczuciem

ascetycznem i miłością kraju pogrążonego w zepsuciu i chwiejącego się nad przepaścią.

Qui redemisti perditos, noli perdere redemptos!

Podczaszyc skłonny do pochwycenia co mu oko przyniosło, nie mógł się zbwić tej modlitewki, powtarzał ją, przekrecał, gniewał się na siebie, zaswijał z nią na ustach i budził szepcąc znowu... Niekiedy męczyła go do znecierpliwienia, ale im mocniej chciał się jej pozbyć, tem uparciej mu ona wracała. Może Anioł-stróż włożył ją w usta biednego szaleńca, i jak zeschle rzucając nasionko, z którego kiedyś spodziewał się owocu i kwiatu.

W samotności klasztornej, w ciągu dni długich które tu przeżywał, podczaszyc wieciej się męczył niż ulepszał. Z rozmów nawet z ojcem Spirydjonem, korzystać nie mogła być zrazu wielka — aby orać wolem, trzeba mu wprzód jarzmo włożyć, a jarzma tego nie chciał wdziąć biedny młodzieniec, tak jeszcze rozhukana dusza i umysł do szwerstwa nawykły, wzbraniał się przyjąć wszelką prawdę, którejby rozebrać nie potrafił. Najlepsze chęci głupi wstyd w nim zabijał. Jedną tylko drogą kierował się powoli ku ścieżce co go z obłędu wywieść mogła, a tą było wspomnienie staruszki i lat młodszych. Coraz to częściej zwracał się ku nim — raz nawet, dobrze że nikt nie widział, bo by się zagryzł był wstydem, łza jakaś niedojrzała zaszła mu oczy. Otarł ją, żywo się oglądając i śmiechem, jak kamieniem źródło jej przywalił, żeby nie trysła więcej...

Rzadko go kto tu odwiedzał, oprócz ojca Spirydjona, ale ten miał tyle zatrudnień, około nieszcześliwych po więzieniach, przy ubogich, że wiele czasu poświęcać mu nie mógł. Co mu zbyło tylko od obowiązków, dzieląc na modlitwę, rozmyślanie i rozmo-

wę z Ordyńskim, rzadko mógł dłużej nad chwilę z nim pozostać.

Od godzin rozmyślania, modłów i pokuty nawet, odrywał się czasem dla niego, ale w przedce spostrzegł, że tu natrętnym być nie można w nawracaniu.

Potrzeba było, żeby chory sam zawołał nareszcie o lekarstwo, badał tylko stan jego duszy i cierpliwie oczekiwał. Wiedział starzec, że niewiele warte nawrócenie, gdy ku niemu wola się grzesznego nie skłoni sama; co tylko skutkiem szczególnej łaski, usilnej pracy nad sobą lub powolnego wpływu otaczających być może.

Gwałtu dusza nie cierpi, bo natura jej wszelką przemoc odraca, — jest to istota swobodna, której oddane panowanie nad sobą, całych przyszłych zasług jest nasieniem.

W początkach niecierpliwił się podczaszyc, warczał, żymał, tesknął, dopytywał o świat, który przeciętnie o nim zapomniawszy, zesmutniał potem, zamyslał się i wpadł na te ożywające wspomnienia młodości, których źródeł po długim zapomnieniu znalazł płynący jeszcze. Z oczu jego wyczytał zmianę stanu duszy starcy kapucyna, bo dostrzegł w nich rozrzucone nie pocziwsze, smutek, tęsknotę do rezygnacji już blizką.

— Łaska Boża działa — rzekł, — dajmy mu czas by się zwyciężył.

I jak był przywykł zakonnik, wchodził co dzień do celi z uśmiechem na ustach, z tabaczką w rękę, wesół, rubaszny czasem, pełen słodczy i dobroci, opromieniony pokojem nieziemskim. Czasem, gdy się go jeszcze podczaszyc o świat dopytywał, zbył go żarcikiem tylko.

— Kochany panie Michale — mówił — a cóż chcesz bym ci o świecie powiedział? Mój świat a je-

gomościń, to antypody! Co ja tam wiem, jak się bawia, szaleją i lata czyśca lub wieczności piekieł zapracowują w pocie czoła! mnie dopiero wzywają, kiedy naczynie potłuczone, a płyn drogi ciecze z niego, niestety! często, na czarną brudną ziemię... co by miał od słońca miłości Bożej wyparować do góry i niebios! Mój świat, kochany podczaszycu, to ci nie szczęśliwi, których nie ma dnia, żebym na wieczność nie dysponował, a na których twarzach albo zatwardziałosc zbrodni, albo rozpacz i zgryzota się malują. Ot wczoraj dwóch z mojego świata powiesili, dziś dysponowałem na stracenie kobietę, co męża otruiła... widzisz, wiele to świata mojego. I co ci po nim? A że karety paskie i królewskie po bruku huczą, że się tam magnaci przejeżdżają z pałacu do pałacu, po teatrach i skoczkach, myślisz, że na to patrzę? Skończy się to, jak wszystko — dzwonkiem, gromnicą i litanją przy konających.

Podczaszyc westchnął. Widział on już pomimo powabę, jakimi go życie porzucone pociągało ku sobie, ile w niem było łaszów i szychu, wśród pozornych świecideł. Ale że poprawa stokroć jest zawsze trudniejszą od zepsucia, jak zniszczenie łatwiejsze od zbudowania, trudno mu było wybrnąć z drogi na której daleko się zabił. Kłasztor, zamknięcie, echo modlitwy, żywot mniszy, podziać nań tak rychło nie mogły — postaci, które tu spotykał, dziwiły go, niecierpliwiły, smieszyły, wpływu nań nie miały, bo jeszcze większa od niego dzielna je przestrzeń, niż łagodnego ojca Spirydyjona. By się dwie dusze zrozumieć mogły, potrzeba między nimi jakiegoś punktu zetknięcia, choćby niedostrzeżonej nici pajęczej, co by je z sobą wiązała. Tej nici wysnuć nie chciał Ordyński.

Zbliżała się może chwila odrodzenia, ale jeszcze

nie była przyszła, rozrzewnienie tylko, jak rosa, dzień i wschód jasny poprzedzająca, oblało duszę łzą srebrzystą, — ale słońce nie rozjaśniło niebios jeszcze i szary zmrok okrywał smutnym całunem bezbarwne przestrzenie.

II.

Pan podkomorzy Brański, który, zobaczywszy Anusię, rozgorzał nie pomału, (bo go płomień nie wiele kosztował, ale i ostygnięcie nie było trudne) — człowiekiem był lekkomyślnym nad wszelkie pojęcie, życie gotów zawsze postawić za to, co jutro by przez okno wyrzucił.

Z młodości nic nie stawiało tamy rozhukanym jego namiętnościom, los dziwnie mu sprzyjał i z najtrudniejszych okoliczności, jakby cudem zawsze wykładał. Stąd wyrobiło się w nim zuchwalstwo niesłychane i rzucanie się bezmyślne na wszystko, co dogadzało chwilowej bodaj fantazji. Szał u niego nie rodził się z namiętności, ale z nałogu dogodzenia sobie. Serce dawno w nim spało, zdrętwione zepsuciem, głowa tylko gorzała i ciało się miotalo. Był on jedną z tych postaci, jakie się zapewne trafiają we wszystkich krajach i czasach, ale miał na sobie cechy epoki i miejsca — epoki, co rozpasywała ludzi właśnie, jak konanie, co niekiedy martwy język i myśli uśpione rozwiąże.

Dla niego wszystko w nim tylko było. Świat miał za rzecz dodatkową, na służbę jemu skazaną — myśl nigdy nie poszła wyżej, serce nie zbudziło się z letargu. Dalej, bądź co bądź — było jedynem jego hasłem. Rodzina patrzyła z przestachem na to wyuzdanie młodzieńca, który, jak ów senny, chodzący po dachu, co chwila mógł spaść i rozbić się w kawał-

ki, ale osobliwsze jakieś strzegło go szczęście, jakaś niewidoma opiekowała się nim ręka... Miał podkomorzy silnego i nieznużonego opiekuna w królu, protektorkę naturalną w familji, która nim władała, ale oboje to nie starczyłoby jeszcze, gdyby nie osobiste jego szczęście.

Tracił ogromnie i zawsze miał co tracić, narażał się i wychodził cało, szalał, a nie mógł nic splatać, coby go zgubiło; nadużywał sił, zdrowia, ludzi, pieniędzy, a miał je zawsze na zawołanie.

Powszechnie też tego wesołego utracjusza i hulakę zwano dzieckiem fortuny, i on sam przywykł w swoją gwiazdę wierzyć, jakgdyby się nigdy zaćmić nie miała. Zresztą był to, jak wielu jego współczesnych, więcej roztrzpiotany i zepsuty, niżeli zły człowiek, uniewinniało go wychowanie, przykłady, nałóg!! Byle czego zażądał, nie znał, co to niepodobieństwo, ani mierzył wartością rzeczy starania się o nią, ale żądzą swoją — a żądza wzrastała najlżej szem podrażnieniem, zaporą, trudnością. Trafiło się, że podkomorzy tracił tysiącami dukatów dla tych, co byli do zdobycia za talara — byle kamyczek na drodze leżał między nim a niemi.

Rozchodzące się opowiadania o piękności Anusi, o surowem jej zamknięciu, — powtarzane nie tylko w mieście, gdzie po salonach za wachlarzami zmyśloną historję damy sobie podawały, ale nawet w zamku, dostateczne były do podżęgnięcia pana podkomorzego Brańskiego. Wejrzenie jego na Anusię, którą znalazł wcale inaczej, niż myślał, zastrzyło tylko chęci, nie zmieniło zamiarów. Może też wdzięk niewinności, woń prostoty, nowa dla niego, co obcował z zepsuciem miejskiem, urok jakiś miały pociągający. Słowem, podkomorzy rozgorzał, oszalał, głowę sobie nią nabił i pokoju nie mając,

gryzł ustawicznie palce (jak był przywykł), myśląc, jakby się do Anusi przybliżyć, jak ją pochwycić.

Posłał zaraz szpiegów swoich na zwiady, a nim parę dni minęły, miał już dokładniejszą nieco wiadomość, kto była Anusia, jakie ją z podczaszym łączyły stosunki i widział, jak trudno mu będzie zbliżyć się do niej. Wiadomość ta, ukazując mu same przeszkody, zraziła go nieco, ale cofać się przecie nie myślał. Już się był kilku poufałym zwierzył swego projektu, a że nic w sobie utrzymać nie mógł, zaraz też przed nimi żalić się począł, jak mu to ciężko szło, że Anusia była dziewczęciem prostem i poczciwym, wychowanem na wsi, że sposobu prawie nie ma do niej dostąpić; przyjaciele rozśmiali się na całe gardło.

— A! a! podkomorzy się cofa! — zawołano — za trudno! przecież trafiła kosa na kamień!

— Ja się cofam — wykrzyknął, bijąc pięścią o stół zapaleniec — tego jeszcze nie bywało i nie będzie! Idę w zakład, jeśli chcecie, że za tydzień Anusia gospodarować nam będzie w moim domku na Nalewkach.

Podkomorzy, wzorem owych sławnych domków zwierzyńca *parc aux cerfs*, miał domek urządzony na Nalewkach, gdzie ulubienice trzymał i dawał niekiedy poufałym swoim wieczorki i baliki bardzo głośne.

Słowo się tedy rzekło, pochwyciono je, potrzeba było dotrzymać! Podkomorzy zagryzł palce do krwi, natarł głowę, ale zaklął się, że na swoim postawi... Sam tu nie wiele mógł zrobić, musiał użyć zwykłych swoich pomocników, kamerdynera Syxtyńka (rodem ze Lwowa, który, że się gdzieś znalazł na ulicy Syxtówką zwanej i nazwisko też od niej otrzymał) i niejakej Szwędzkiej. Syxtynek na ten raz nie bardzo

mógł usłużyć, na Szwędzkiej cała spoczywała nadzieja.

Były to wybitne swego czasu postacie, których lekko zbyć niepodobna. Syxtynek, łotr kamerdynier, bo jaki pan, taki kram, ale łotr elegant, co się zowie, z góry traktujący nie tylko kamerdynierów braci, ale szlachtę szaraczkową, równie ufał w szczęście i broił niesłuchanie, rachując na podkomorzego, że go i z pod szubienicy wyciągnie. Zuchwała sztuczka, miał się za równego wszystkim, a jeśli raczył przed królem uchylić kapelusza, to raczej przez bojaźń kija, niżeli uszanowanie. Miał on tyle dowcipu i sprytu, że w potrzebie mógł z siebie na chwilę i dosyć potulnego zrobić człowieka, ale zawsze grał rolę pannie i udawał, że panu podkomorzemu przez przyjaźń tylko służy. Że go pochodzenie i nazwisko piekło, zrobił sobie jakąś romantyczną historją swego rodu, którą często na plac najbezczelniej wyciągając, od jakiegoś hrabiego Syxta w prostej linii się prowadził.

Madame Szwędzka chodziła wszędzie z tym francuskim tytułem bardzo słusznie, raz, że podobno miała w początku sklep modniarski, powtóre, że zajęcie jej i rola wcale nie polskie, francuską ją czyniły. O pochodzeniu tej awanturnicy nikt nie wiedział, ani skąd się wzięła w Warszawie; jakiś akcent cudzoziemski w mowie się jej przebijał, a rysy też nie były tutejsze. Ciemnej płci, oczów czarnych żywych, twarz już około czterdziesto letnia, ale jeszcze resztki piękności starannie pielęgnująca, gadatliwa, ruchawa, żwawa, bezczelna, знаła cały świat, tylnemi drzwiami bywała nawet w zamku u Bruneta, w każdym pałacu miała jakieś stosunki, jeździła koczkiem, ubierała się wytwornie, szczebiotała po francusku, a krąg jej znajomości tak się rozciągał szero-

ko, że z jednej strony, dotykając antykamery króla, z drugiej zajmował uliczną tłuszcę i najbrudniejsze szynkownie.

Mieszkała na ulicy Bednarskiej, w swoim podobno własnym domu, tajemniczej kryjówce, do której wchodziło się przez trzy bramy: od przodu, z tyłu i boku. Wrota były zaryglowane, straż pilna, a kto wie, co się działo wewnątrz! Niezmiennie zawsze zajęta, madame Szwędzka we dnie prawie się nie pokazywała, lub jeździła incognito, wieczorem dopiero puszczała się w świat za swemi interesami. Co robiła, a czego nie robiła, określić niezmiennie trudno.

Wozila listy, bileciki, czasem jeździła, aż na wieś i powracała często nie sama, ale z ładnemi towarzyszkami, sprzedawała brylanty, zegarki, koronki, podejmowała się tajemnych prezentów, intrygowała na wszelkie sposoby, wpływała nawet ubocznie do facjend majątkowych i politycznych. Nikt nigdy się nie przyznawał głośno do znajomości z nią, ale mało kto naówczas jej nie używał w jakimś krytycznym razie. Rozumie się, że madame Szwędzka jeździła, posłowała, pośredniczyła i krzątała się nie darmo, dobrze umiając ciągnąć zyski ze swego generalnego faktorstwa. Cnotą, która ją wzniosła na wysoki popularności stopień, głównym przymiotem, była niesłychana zręczność i dyskrecja. Nigdy nie skompromitowała nikogo, ani dobrowolnie, ani przypadkiem, nie dała się złapać za język, ani za pismo, milczała doskonale. W razie biedy, wykręcała się sama przemożnemi wpływami, ale za sobą nie pociągała nikogo.

W owych czasach intryg, miłostek, facjend, przekupstwa, tajemnic, silny był pomocnik do wszystkiego z madame Szwędzkiej.

Kto ją mógł mieć, pewien był swego, ale tego

sprzymierzeńca pozyskać nie było łatwo; co dzień stawała się droższą, dumniejszą, kapryśniejszą, mniej przystępną. Czasu tego sejmu, i napływ osób i namietności, dawał jej ogrom zajęcia, i zбогаcił był znacznie. Przebakiwała już, że chce sobie wyszukać męża i usunąć się od interesów (se retirer des affaires), a resztę życia spokojnie gdzie na wsi przepędzić.

Nic ja bardziej nie gniewało nad niezręczność, bo doświadczenie i dowcip uposażyły ją samą w najosobliwszą trafność do wszelkiego rodzaju robót. Dla niej także nie było niepodobieństwa; trafiła do każdego, poczynając tylko od pytania: a co on lubi? nie znała, co to drzwi niedostępne, co ludzie nieużywi.

Szwędzka na wielkim świecie miała ulubionych kilku klientów, do których liczyli się koryfeusze partji hetmańskiej, dawniej książe podskarbi i kasztelan, ale dwóch ostatnich rzuciła, jednego, gdy go pod sad oddano, drugiego, gdy oratorem z profesji został. Ocierając się o ludzi, pomimo podszezwki gburowskiej, która się zawsze w niej przebijała, tak się była powierzchownie otarła, tak nabrała manieri świata, że przez godzinę, jaką mogła by była w najlepszym mieście się towarzyszyć; a gdy chciała, tak grała rolę głupowatej, cnotliwej, skromnej, że oszukiwała by każdego. Niepospolita aktorka umiała ludzi na pamięć i korzystała potężnie z tej umiejętności. Chciwa, dumna, bezczelna, miała wszystkie wady swego stanu, ale w wysokim stopniu posiadała jego przymioty.

Podkomorzy, jak skoro przysiągł mieć Anusię, poleciał zaraz sam do Szwędzkiej, nie chcąc czekać, póki wezwana przyjechać raczy. Ledwie się dostawszy do bramy od tyłu, ledwie wymodliwszy posłu-

chanie, musiał jeszcze czekać, bo jejmość była na konferencji z jakąś tajemniczą figurą, która przybyła najętą kareta i weszła tak zakwefiona, żeby jej i diabeł nie poznał.

Po odprowadzeniu tej pani do powozu, madame wyszła nareszcie do podkomorzego zafrasowane trąc czoło. Przyjmowała go może umyślnie w małym trochę przyćmionym saloniku, z którego aż czworo drzwi, w cztery wiodły strony. Pokój to był mimo dość przyzwoitego i wykwintnego niby przybrania, tchnący bezeceństwem jakimś... była w nim jakaś woń zbyteczna, woń rozpusty, co się oblewa wyciskiem wszystkich kwiatów, by straconą świeżość niemi nagrodzić... drzwi jego patrzyły złowrogo, posadzka zdawała się miejscami, jakby krwią zaschlą po zbrodni poplamiona, każde krzesło spowiadać się zdawało z jakiegoś występku, którego było świadkiem. Na dwóch fałsz-marmurowych słupach stały dwa piękne, ale pęknięte wazony, których szczyrby kto wie, jak powstały?

Zasłony okien zdawały się potargane, pomięte, jakby je kiedyś konwulsyjna chwytiała ręka, zostawiając ślad gwałtu — powietrze było ciężkie i lochowe... Światło padało ukośnie, niechętnie i zmieniał się w fałszywy jakiś odbłask, który kłamał na twarzach, czego w nich nie było. Ale podkomorzy, zajęty swoją sprawą, nie miał czasu zastanawiać się nad fizjognomią salonu, i szybko zbliżył się do madame. Ona w progu, starannie jednak drzwi za sobą zamknawszy, plasnęła w ręce, kiwając głową ze śmiechem.

— A! a! cóż to za niespodziany gość u mnie! musi ci być gorąco podkomorzuniu (zwała wszystkich bez ceremonji, spieszczając tylko tytuł lub imię), kiedyś się aż sam do mnie pofatygował,

— Szczęściu, kochanie, chodzi o mój honor... i o... serce. Oboje w niebezpieczeństwie...

— O! o! już się pali, jak jasna świeca! — zawołała jejmość, kręcąc głową ze zbladłym uśmiechem — a jak nie w porę przychodzisz! nie wyobrażasz sobie, co mam na głowie, półtóry kopy najtrudniejszych interesów...

— No, to jednym więcej nie zawadzi.

— A daj mi pokój! ty ze swoim musisz kolei czekać (wiedziała, komu to mówiła).

Podkomorzy obrócił się na nodze i syknął.

— A idź do diabła z poczekaniem! oto mi słowo!

Madame, śmiejąc się, z trafności swojej rzuciła się na kanapę.

— No mów — nie mam czasu, krótko, a węzłowato.

— Naprzód słowo, że się podejmiesz.

— Zobaczę.

— Tu nie ma zobaczę — potrzeba, musisz i kwiata. Dam, co zechcesz, a zrobisz, co powiem.

— Dam, co zechcesz! powtórzyła, ruszając ramionami. — Jaki mi pan! no! gadaj!

W tem spojrzała, jakby dla zobaczenia godziny na kameryzowany zegareczek, wiszący u pasa, śliczne caceczko.

— Mów! nie mam czasu, parole d'honneur!

Poczęła się bawić zegareczkiem. Podkomorzy, zobaczywszy go, kwaśno się skrzywił, bo już rozumiął, o co idzie.

— Ale naprzód — przerwała, kładnąc mu rękę z zegarkiem na kolanach — kupisz sobie u mnie to cacko... Śliczny pektoralik! same brylanty warte z 50 dukatów! a żebyś jeszcze wiedział, w jakiej była potrzebie ta, co mi go kazała sprzedać... co to za

śliczniutki buziaczek! Dobrze, żeś przyszedł, to go kupisz.

— A kupię! kupię! — trochę kwaśno rzekł podkomorzy.

— Otóż jeden interes skończony... dasz mi tylko sto dukatów.

Podkomorzy syknął, zagryzł palce, ale się nie sprzeciwił.

— Wstydz się, już sykasz! co to znaczy sto dukatów — une misere! teraz mów.

Podkomorzy począł całą historję Anusi i swoją, ale mu kończyć nie dała madame, domyślając się połowy. — Podumała nieco.

— Sprawa trudna, dziewczyna ze wsi, nie uboga może! zakochana, uczciwa! a to śliczną mi swatasz robotę, niech cię kaduk porwie!

— Szwęsiu, ale to zrobić się musi.

Kiwnęła głową.

— Potrzeba czasu.

— Trzy dni.

— Zwarjowałeś!

— No, to cztery...

— Najmniej tydzień.

— Nie sposób!

— Cóż myślisz na to sakryfikować? — zapytała, wpatrując mu się w oczy.

— Ceny nie naznaczam.

— Szalony! — szepnęła, ruszając ramionami — no, ale naprzód zapłać zegarek.

Podkomorzy wyciągnął rękę po cacko, ale Szwęsia swoją cofnęła.

— Alboż myślisz go wziąć?

— A cóż, kiedy kupuję!

— Kupujesz, ale mi go darować musisz, inaczej

ani się podejmę interesu, tysiąc ich mam na głowie, idź do licha.

Zwróciła się ku drzwiom.

Podkomorzy dobył sakiewki, popatrzał na nią, ale coś wyglądało chudo.

— Pieniądze — rzekł — odeszlę ci za godzinę, ale interes zrobisz.

— Dla ciebie podkomorzuniu, jakże tego nie zrobić! — szydersko uśmiechając się, odparła Szwędzka i podała mu rękę — no! no! bądź spokojny, a siedź cicho. Gdy będzie potrzeba, to ci dam znać.

III.

Nazajutrz rano szedł pan Kasper Sieniński z kościoła od św. Jana, a obok niego zakwiefiona kobiecina, w której, najwprawniejszemu oku trudno było poznać wczorajszą madame Szwędzką; chociaż nie kto inny mu towarzyszył. Ale jakże się zmieniła! co za spokój na jej twarzy, tchnącej skromnością i smutkiem, jak niewykwintny ubiór, jaka obojętność i powolność ruchów!

Pan Kasper toczył z nią rozmowę po drodze, prowadząc ją do swego dworku.

— Jakże to być może — mówiła madame — żeby waćpan dobrodziej nie przypomniał mnie sobie? Byłam na ówczas na respekcie u JO. księcia kasztelana...

— Przyznam się waćpani dobrodziejce — odparł pan Kasper — że ja naówczas pokojowcem będąc, od czego (intra parenthesis) i najlepsza szlachta poczyniała — nie śmiałem ani oczów podnieść na respektowe panienki, a waćpani dobrodziejka musia-

łaś być chyba bardzo młodziutką, prawie dzieckiem.

— Tak jest, prawie dzieckiem — szybko dodała pani Szwędzka i westchnęła. — A co to za święty, bogobojny był dom księstwa kasztelaństwa... a sama pani, anioł!

— Święta, istotnie święta osoba! — rzekł pan Kasper.

— A sam-że? co to za dobroć. Ani się kiedy ofuknąć umiał, choć mu figle nie małe płatano. Bywało w największej złości, nogą tylko tupnie i już bardzo źle, kiedy sobie zamiast przekleństwa krzyknie — mirabilia!

— A! a! pamiętam, to jego przysłowie! to też go przyjaciele i nieprzyjaciele zwali z tego powodu księżę mirabilis, a że JO. pani była trochę czerwona, to ją czasem, jak śliwkę, mirabellą nazywali...

Szwędzka się dobrodusznie rozśmiała.

— Ale jakże się to dzieje, że pani się dostałaś do Warszawy? — spytał Kasper.

— Długo by to było opowiadać — westchnęła madame — a nie ma co słuchać! ale chwala Bogu handelek mi tu poszedł, stosunki się porobiły niezgorsze, i gdyby tak jeszcze udało się znaleźć uczciwego człowieka, co by się zaopiekował moim wdowieństwem, a zarządził tym groszem, co się to uciula! — bo to tak samej kobiecie, trudno!

Chrząknął i odprostował się pan Kasper — na wspomnienie grosza, dziwna myśl zaświtała mu w głowie; spojrzał, uśmiechając się w oczy jejmości, czapki poprawił, pasa pociągnął, wąsa pokręcił, czoło pogładził — ona oczki w dół spuściła skromnie.

— Tak samej kobiecie bez opieki — dodała — w takim mieście! ludzie często uczepią się, odra,

oszukają, a niema się komu i ująć. Gdyby mi się tak stateczny człowiek trafił...

— Masz waćpani dobrodziejka słuszność, ale nie chłystek, stateczny, wytrwany, co by to grosza nie przehulał... choćby nie tak młody, aby pewny...

— E! mnie tam wcale o młodość nie chodzi, — mówiła ciągle, wzdychając Szwësia — chcę opiekuna. Zbliźali się ku dworowi, a pan Kasper co raz stawał rezolutniejszy.

— A do mojej ubogiej chatki nie raczysz to waćpani dobrodziejka nóżką wstąpić? — zapytał grzecznie.

— Jeśli pan pozwolisz? — skromnie odezwała się kobiecina.

— Najgoręcej proszę mi ten honor wyrządzić, chociaż tu ubogo, ubogo — ale bom ja oszczędny i z jutrem żyję, dodał cicho stary.

— Oszczędność, to największa cnota! — odpowiedziała jejmość.

— Złota maksyma, jak Boga kocham — rzekł pan Kasper, całując białą rączkę. — Pani mnie coraz mocniej za serce chwytasz — i poprawił się stary.

W tem zapukali do bramy, a Hołodyga wyścibił głowę — na widok nieznanomej kobiety wielkie oczy wytrzeszczył, otworzył furtkę za którą się ukrył i wpuścił wchodzących, sam zaraz pod Bernardyny ruszając.

Pani Szwędzka udając, że nie wie kto we dworcu zamieszkuje, weszła doń doskonale odgrywając rolę dewotki, z wielką księgą pod pachą, z ogromnym kokosowym różańcem w ręku. Pan Kasper nie mogąc jej przyjać w swojej izdebce, musiał wprowadzić do średniego pokoju, gdzie właśnie samą zastali Anusię. W pierwszym wejrzeniu na nią nieostrożnem,

łakomem, badawczem, dla innych ludzi byłaby się wydała niepocziwa kobieta, tak jej oczy błysły szatańsko, ale nikt tego nie uważał, a ona rachowała na to i zaraz zakrzyczała w progu:

— A cóż to za niespodzianka! a toż jakie śliczne dziecię w pańskim domku? czy córka?

— Nie pani, mam honor przedstawić pani skarbnikowiczowej dobrodziejce (tak się mu kazała tytułować) synowicę moję, Annę Sienińską, wychowankę podczaszynej Ordyńskiej, która tu z ojcem swym, a bratem moim, pod tę chwilę nieprzytomnym, samotność moję podziela.

— Ależ to cudny fiołeczek ukrywający się w cieniu zawołała Szwesia, po przywitaniu siadając koło Anusi, która czegoś skłopotana i jakby przeczuciem odepchnięta, odsuwała się trochę od dewotki. — Dawnoż to moje dziecię w Warszawie?

— Ja? od kilku miesięcy.

— I ciągle tu tak w kąteczku? — spytała przy-
młajając się mniemana wdowa.

— Bardzo mi tu wesoło z ojcem i stryjem.

— Ależ, to samotność nie dla twego wieku, kochane dziecię — dodała madame — to klasztor prawie. Waćpan dobrodziej — obróciła się do pana Kacpra — nie powinieneś tu tak dać wędznąć tej różyczce.

Pan Kacper nie wiedząc co odpowiedzieć ruszył tylko ramionami.

— A cóż — dodał po namyśle — myśmy ludzie prości, gdzie tam towarzystwa szukać, siedzim w kącie, Boga chwalać poprostu.

— Cha! cha! panience by się i kawaler należał! — wpatrując się wciąż pilnie w Anusię, dodała Szwesia przeszywając wzrokiem biedne zmieszane dziewczę — ale na to jeszcze czas.

— O! i bardzo! — mruknął Kacper.

— Jakże to szczęśliwie — przemówiła po chwili — że nas los do siebie zbliżył panie Sieniński, to u mnie przecie panienka — jakże imię?

— Anna! — szepnęło cicho dziewczę.

— U mnie panna Anna znaleźć może czasem rozrywkę, towarzystwo uczciwe, zabawkę, mogę jej towarzyszyć do kościołów na nabożeństwo, przechadzkę, czasami wieczorek u mnie spędzić, weselej będzie. Ja bardzo lubię młode osoby, sama dzieci nie miałam, to się choć cudzemi chętnie otaczam.

— Bardzo dziękujemy pani — z galanterją rzekł stary przysiadując się nieco, a Anna przerwała:

— Ale ja się tu bynajmniej nie nudzę, ani towarzystwa pragnę, przywykłam do ciszy, spokoju i pracy.

— A to bardzo ślicznie — krygując się rzekła madame — bardzo ślicznie dla młodej panienki, bo to chroni od tysiąca niebezpieczeństw, wśród tego zepsutego świata grożących, ale dla zdrowia i dla humoru nie wadzi niewinna rozrywka.

Anna zamilkła, Kacper czuł się w obowiązku potakiwać wdówce, która westchnęła.

— Oj bo to świat! świat ta nasza Warszawa! — odezwała się — co to za dwór! jakie to zepsucie, jacy mężczyźni, to! — imaginacją przechodzi!

— Rzeczywiście pani dobrodziejko — odparł Kacper — wzdygam się patrząc — Sodoma i Gomora.

— A kościoły pustką, dodała Szwesia.

— A hulanka bezustanna, i między panami i między sługami.

— Tak, że tu pocziwey kobiecie byle twarzyczka ładna, ani się na ulicę pokazać, spokoju niema od

tych łotrów, mówiła dalej madame, z tego względu to dobrze, że panna Anna nie bardzo rada wychodzi.

Rozmowa w ten sposób dosyć zręcznie prowadzona, trwała jeszcze chwilę, ale napróżno usiłowała różnemi sposoby Szwęsia przybliżyć się do Anusi, która czuła wstręt jakiś od pierwszego wejrzenia na mniemaną dewotkę. Nareszcie wstała i uśmiechnawszy się do pana Kaspra, rachując na to, że zaproszenie go do domu i przyjęcie w nim, większe na umyśle Sienińskich zrobić może wrażenie, zaproponowała staremu żeby ją przeprowadził i nawzajem odwiedził. Kasper, który już dziwne na wdówkę miał projekta, pochwycił życzenie, wziął czapkę i laskę, podał jej rękę i powierzwszy Anusi straż domu, sam rzeżko się zwiżając wyszedł ze Szwęsią.

Wiedziała ona któremi go drzwiami wprowadzić do swego domu, zawróciła się do tylnej bramy na ten cel przeznaczonej, otwierającemu dała znak jakiś niepostrzeżony i nie powiodła Kaspra do owego saloniku, w którym widzieliśmy ją rozmawiającą z podkomorzym, ale do izdebek na dole, przyzwoicie, skromnie ubranych i jakąś pocziwą a dostojną minę mających. Całą drogę grała swą rolę z taką naturalnością, łatwością i precyzją, że staremu i przez głowę szalbierstwo przejść nie mogło.

I te dwa pokoiki! zdrajcy — jak grały pocziwe, spokojne życie, jak tu wszystko było w porządku, czysto, świeżo, wesoło i jasno. Kwiatki w okienku, łóżeczko wysłane a bielutkie gdyby śnieg! kluczyki na kołku, kanarek w klatce, dziewczyna prosta do usługi, mebliki stare i niewymyślne. Staremu się aż uśmiechało, gdy pomyślał, że ta zacna wdówka może — może — może — starość jego uweseli. Nie widział w tem niepodobieństwa, a czuł się jeszcze na siłach zawrzeć dożgonne śluby. Tymczasem madame zapro-

siła go na kawę, a nim ją podano (bardzo poprostu i po gospodarsku) zaczęła mu opowiadać o dawnym handlu, o dochodach jakie miała, o domu, o lokatorach i t. p.

Stary potakiwał, rozczułał się, a że co chwila niby przypadkiem dowiadywał się dokładniej o domniemanej ilości talarów w kuferku spoczywających, o które wdowa bardzo się jakoś turbowała — stawał się co raz czulszy, młodniał, a tak mu się podgoloną łeb zawrócił, że wyszedłszy po ucałowaniu rączek rześcistem, palnął głową o furtkę, co mu się w życiu nigdy nie przytrafiło.

Ale co to może szal, kiedy w starem sercu obudzi się po niewczasiu! Leciał do domu, żeby co prędzej w cztery oczy z bratem o tem pogadać i pochwalić się sperandą. Zastawszy go, nuż się rozpościerać szeroko. Pan Jan milczał, słuchał, ramionami ruszał, a że nie był świadkiem wszystkiego i Szwęsia nie wywarła nań wpływu, którym potrafiła obalamucić pana Kaspra — na zimno sądząc, domacał się w tem wszystkim coś podejrzanego. Dodać potrzeba, że ożenie brata, z którego spadek na Anusię miał iść kiedyś, jakoś go niemile drasnęło.

Kasper widząc tę obojętność, a nawet znalazłszy niedowiarstwo, ofuknął się.

— Co, bo to panie Janie! myślisz się oponować i nie dzielasz moich nadziei? — rzekł nie ukontentowany.

— Ale to trochę waści panie Kasprze w głowie świta, coś tak nagle w godzinę już i znajomość i czułość i gotowość stanąć na kobiercu! lichy wie co to takiego, a zapominasz żeś starszy odemnie i że szpaka na łabędzia już kroisz.

— Co to za szpak! co to za szpak! krzyknął Kasper uniesiony, ale kawaler, ale krzepki, a nie jedne-

go młodzika zakasuje. A to mosanie wdowa ciepła, pieczone i warzone, grosz, kamieniczka i porządeczek! a co to za ład, a jaka w domu oszczędność! a kufereczek żebyś wasan widział! Pocałować go, tak gada o talarkach.

— Ale nie, jużby ona co młodszego sobie nie znalazła?

— Terefere mosanie — to kobieta stateczna, pobożna, fiubzdziu w głowie nie ma, a nareszcie stara moja znajomość!

— Ale, cóż o niej nie wspomniałeś nigdy?

— Tak, terazem dopiero doskonale ją przypomniał, choć dobrze młodsza odemnie, bo taki niczego, wcale niczego, ale na żonę w sam raz! Powinno tak być mosanie — mąż wytrawny, jejmość hoża! I tak Bóg przykazał.

Zataił ręce, przeszedł się.

— Oto by mnie los spotkał na starość! — rzekł — no!

Anna, która weszła na pół rozmowy, rozśmiała się ze stryja.

— Patrzcie no ja! i ten pusty dzieciak chichi ze mnie stroił no? a czegoż się ty śmiejesz?

— Ale, bo stryjasku, strasznie się po młodemu rwiesz do tego małżeństwa...

— Bom młody mościapanno! — huknął Kasper nie zważając na ruszanie ramion brata — wiodło się życie skromne, uczciwe, młodość siedzi w kieszeni caluterka, anim z niej tyle nie uрониł! Dość tych śmiechów, a co wiem to wiem! i co ma się zrobić, to się robi.

Ojciec i córka spojrzeli po sobie i umilkli. Naza-jutrz rano, Kasper, gdyby na fest wystrojony i odświeżony, drapnął *summo mane*, jak sam mówił do kościoła, a tu w ławce na wczorajszym miejscu zastał

już swoją znajomość modlącą się bardzo pobożnie i nie zwracającą oczu na niego. Dopiero po nabożeństwie zeszli się u święconej wody, co p. Kasper wyrachował po młodemu i udało mu się zręcznie, bo ani czekał ani gonił, tak się z krokami wymierzył. Madame Szwęsia rozśmiała się w duchu z nowego kontusza i postawy odmłodzonej konkurenta. Wyszli tedy razem z kościoła, jedną mając do przebycia drogę.

Mijali bramę Krakowską, pod którą, jak zwykle śniadał sobie Orlandini; Włoch przypatrzył się dobrze przechodzącej kobiecie i znanemu sobie panu Kasprowi, zdziwił widząc ich razem i pokiwał głową.

— Ocho! — rzekł — Madame Szelmosia (nie lubił tej niegdyś swej współzawodnicy) coś już kluje — uczepiła się starego, nie bez kozery.

I rozśmiał się Orlandini na całe gardło, gdy go mijali, chcąc Szwęsie zmusić, żeby się obejrzała, ale łotrzyca, czując się poznana przez nieprzyjaciela, nie odwróciła głowy i pospieszenie ciągnęła dalej ku dworkowi pana Kaspra.

Jan teraz czekał powrotu brata, domyślając się, a nuż go znów wdówka odwiedzi, rad był w oczy jej zajrzeć. Szwęsia, jak wczoraj, chcąc się powoli przybliżyć do Anny i oswoić ją z sobą, dała się na spoczynek zaprosić. W pochmurnej minie i najeżonym wasie Sienińskiego domyśliła się coś nieprzyjemnego, więc trochę odłożywszy na potem pana Kaspra, który się musiał odchrząkiwaniem głośnym i otworzeniem tabakierki przypominać, starając uwagę zwrócić na siebie, wzięła się jejmość do ojca Anny i do niej.

Rozpoczęła się rozmowa, jakkolwiek chłodna, ale tak zręcznie prowadzona, że w pół godziny pan Jan został pokonany, a Anna nawet śmieiej coraz i weselej spoglądała na skarbnikowiczowę! O! jak bo na to pracowała, udając i pocziwą, i bojaźliwą, słabą isto-

te, której jedynym celem spokój, nabożeństwo, kawałek chleba na starość.

Wyszła, a Jan z bratem zostawszy w sieni pokiewał głową.

— No! no! — rzekł — istotnie ekstraordynaryjnie miła kobiecina, coś nawet zdaje się tak potulnego, pocziwego, ale to nie dla waści, młoda jeszcze, co się zowie młoda!

— A waćpan mi ciągle tym szpakiem w oczy rzucaś!

— To włóż-że perukę kiedyś to wadzi — odparł Jan — co oko widzi to gęba mówi! Nie dziw, że ci wiek przypomnę, dobrze wiedząc, kiedyś się urodził, ano jeszcze...

— Po co te przypomnienia — przerwał Kasper — stary, no stary, ale jary! i kwita! i kwita! Alem się, jak wmość, co drzemiesz ciągle nie wyżył i nie zszarzał. A wdówka! prawda — *ut sic!*

Złożył cztery palce w kupkę i pocałował.

— Co prawda to prawda — miła, nieszpeta kobiecina, a mówisz, że i grosz jest?

— Ba, — cicho szepnął Kasper, połykając ślinę.

— Kamienica, porządki i — kufereczek! kuferecio! a! Albo bardzo tępy, albo tak daleko ceniąc, kilkanaście tysięcy talarów oszacować je można — posażek piękny! a żem kawaler, — dodał mrugając oczkiem — siwak — ona, wdowa, zapis mi się należy — *to rerum natura!*

Jan milczał, Anna się śmiała, bo byli weszli do izby i tu już rozprawiali...

— Nie zapominajże Anusiu, żeśmy do niej zaproszeni wszyscy na poobiednią kawę, — dołożył Kasper — zobaczycie ją w domu! rządna niewiasta!

Słodkie uśmiechy i słówka mniemanej wdowy nie ułudziły dotąd Anny, nie wzięły ją wcale za serce, ale

w tęsknem jej życiu, ta rozrywka którą obiecywała nowa znajomość, nie była do odrzucenia. Nie gniewała się, że jej ktoś przybędzie, do kogo czasem słowo przemówić by można, u kogo trochę się rozerwać w smutku. Po obiedzie ubrała się skromnie, ale starannie, a że pan Kasper wciąż na stary srebrny zegarek spoglądał, któremu, że większego indexa brakło, pokazywał, co chciał i co mu kazano, przed czwartą jeszcze ruszyli w odwiedzin.

Szwęsia przyjęła ich znowu na dole, w tych dwóch dość ciasnych izdebkach, przystrojonych tak skromnie i pocziwie; przybranie ich do okoliczności było całkowicie komedją, utworem artysty. Ani Anna, ani jej ojciec nie dojrzeli najmniejszego fałszu, bo całe życie ze wszystkimi szczegółami, tak było odgadnione doskonale i schwytane żywo, jakby w istocie w tych izdebkach żył kto, tęsknił, nudził się i płakał. I książka pobożna i krzyżyk i palma sucha, wygodki, poduszka i podnózek wszystko było na miejscu, a przecie te izdebki były ubrane dla Sienińskich tylko, i do wdowiego stanu służyły za dekoracją. Szwęsia była niewyczerpaną w podobnych conceptach i stawiała się każdemu, jak było potrzeba, nigdy nie zaniedbując scenicznych akcesoriów.

W progu już zastali jejmość w białym puderman-tlu, wyświeżoną, ale bez rózu i bielidla, które zwykle nosiła, pozornie bardzo uradowaną przybyciem gości, a jak zawsze skromną, cichą, łagodną.

Po smutnej izbie dworku, te pokoiki świeżutkie jeszcze, z trochę zieloności, ze śpiewem kanarka, ze swym sprzętem wygodnym, uderzyły Annę i przypominając jej życie wiejskie, łzy prawie wycisnęły z oczu. Rzuciła się do wazoników, zielonością ogród w Głuszy i kwiatki starościnej przypominających, do

kanarka... Szczęścia niby nic nie widząc, śledziła każdy jej ruch i łzę nawet postrzegła.

— To doprawdy, jakieś niewiniątko, — powiedziała w duchu — z tem to kłopotu więcej, niż warto — no! ale to nie moja rzecz!

Wkrótce podano kawę, na grzeczności dla Anny szczególnie siliła się wdówka, i tak dobrze udaną jakąś czułością potrafiła ją ku sobie pociągnąć, że chciała przywiązania Anusia, nie potrafiła być całkiem niewdzięczną. Poczęła ją zwać przyjaciółką, spoufalać się, ośmielać. Pan Kasper rosnął, bo i jemu dostawały się choć okruchy oświadczeń i serdeczności; a wdowa dla niego umyślnie co raz to coś o talarach brząknęła, co go rozplómiło niesłychanie. Chodził, poglądając nieznacznie na próżny, ale dobrze zamknięty kuferek pokryty dywanikiem, stojący w drugiej izdebce przy samym łóżku, nie mógł się od tego nęcącego widoku oderwać. Oczy wdowy do reszty go durzyły, bo nań tak czule patrzyła, jakby jutro iść mieli do ołtarza.

Kilka godzin zbiegły żywo na opowiadaniu o dworze księstwa kasztelaństwa, którego Szczęścia zdawała się znać na palcach, choć w życiu go nie widziała. Rozweselono nawet Anusię i pan Jan, który towarzyszył córce, po kawie się tylko na kufrze pod oknem trochę zdrzemnął wedle zwyczaju. Króciutko to trwało, przeszło niepostrzeżone i ujęło za serce pana Jana, powtarzał i o tem ciągle.

— Bardzo miła kobiecina! i taka gościnną! Ale sobie gacha wybrała! no! no!

Jeszcze w progu zapraszając serdecznie Anusię do siebie, pożegnała ich Szczęścia, a ledwie wyszli, przebrana inaczej, rzuciła się w czekający powóz i pojechała do podkomorzego.

Przez tych dni kilka nie miał on żadnej o losie swoim wiadomości, co go okrutnie jęczyło, ale że mu

kazano czekać musiał i w miarę, jak nieprzywykły do cierpliwości na zniesienie niepokoju się wysilał, rosły w nim żądze, pracowała głowa — byłby dał wszystko co chciano za Anusię, którą raz najrzał w życiu! Rozrywał się wprawdzie grając po nocach całych, ale że to było pod wieczór jakoś, jeszcze go w domu zastała madame, właśnie u toalety. Porzuciwszy więc fryzurę i puder, jak stał w białym pudermantlu, na wpół umączony, nie starszy twarzy, poleciał do niej, drzwi kazawszy pozamykać.

Szczęścia siedziała już z nogami na kanapie, a ujrawszy podkomorzego w tym stroju, poczęła się śmiać, domyślając się, jak go tam już niecierpliwość piekła.

— No, a cóż Szczęściu kochanie! a co? — krzyknął wpadając podkomorzy i wcale nie obrażając się śmiechem jej.

— Podziękujże mi naprzód, że się do ciebie sama *en personne* fatygowała — a ślicznie mnie przyjmiesz! fe! co za paskudnik!

— Przepraszam cię, ale tak jestem ciekawy!

— A tu nic nie będzie! — chłodno powiedziała Szczędzka.

— Jaktó! — wybuchnął gwałtownie podkomorzy łamiąc ręce — a tom zdyshonorowany.

Uśmiechnęła się tylko.

— Ale możeż być, żebyś ty! ty! nic nie dokazała?

— Co myślisz! Dziewczyna po uszy rozkochana w Ordyńskim, prosta, głupia, ani do niej przystąpić. Otacza ją dwóch starych, wyschłych zakamieniałych dziadów, pilnując, jak we łbie oka. I nic to interesów nie rozumie.

— Ani pieniędzy nawet?

— Albo to oni ich potrzebują?

— Ależ stryj skąpiec?

— Patrz, jak już wie! rozśmiała się Szwedzka i nagle ton zupełnie zmieniła — no — co mi dasz? to ci ją na Nalewki przywiozę, na dzień i godzinę naznaczoną.

— Co chcesz?

— Fe, myśli się targować!!

— Nie targuję się, ale pytam.

— Bądźże wspaniałym — zawołała Szweścia po swoim — sypnij! jest za co! nie ma co mówić! różyczka! I że przywiozę to pewna, ale dalej, dawaj sobie rady, jak chcesz — ja się w to nie mieszam, i przepowiadam nawet, że kłopot mieć będziesz.

Podkomorzy trochę się zamyślił.

— Co będzie to będzie — rzekł — ale pokażę ludziom, że co zechcę to dostanę; w sobotę u mnie wieczór, gości hukiem, Anna musi mi pogospodarować.

— No, ale cóż mi dasz — rzucając nań okiem chciwem przerwała łotrzyca — mów-no co dasz?

— Mów co ci mam dać?

Wstała z kanapy jejmość i przeszła się po pokoju, niby namyślając.

— Siadaj i pisz weksel do Cabrego na...

Schyliła mu się do ucha.

Podkomorzy poszukał tylko kałamarza, chwilę podumał.

— To ci dam weksel w sobotę.

— A niewierny! — dumnie krzyknęła rozgniewana — no! to bywaj zdrów!

— Jakto? ale ja ci wierzę, tyłkom się chciał wprzód Cabremu opowiedzieć — podchwycił przestraszony podkomorzy — ale kiedy tak, na, bierz, byle tak było, jakem prosił.

— Słuchaj, na dzień i godzinę nie chybię, bo to moja rzecz, ale jak się z tego wywikłasz, co wyniknie, nie moja sprawa. Stworzenie całkiem dzikie, ażeby

je ugłaskać, więcej potrzeba czasu, to już nie moja sprawa.

Podkomorzy pochmurny usiadł pisać, a madame chodząc po pokoju zobaczyła pierścionek leżący na stoliku, i włożyła go na palec bez ceremonji.

— A to na pamiątkę dla mnie — rzekła pokazując.

Podkomorzy tylko ramionami ruszył.

— Wartam i więcej bo prawdziwą robię dla podkomorzunia ofiarę.

— W sobotę na Nalewkach — przerwał gospodarz oddając weksel.

— Będę, jak zaczniesz zmierzchać! Bądź zdrów podkomorzuniu. — Rozśmiała się szydersko mówiąc po cichu: — Tyle twego podobno, co się tymczasem naspodziewasz.

I kiwnąwszy mu głową na którą spuściła welon, znikła znajomemi sobie drzwiami.

IV.

Podczaszyc siedział jeszcze w klasztorze zamknięty, dumając i zzymając się na dziwne położenie swoje. Chwilowo myśli jego brały religijny kierunek, to znów niecierpliwiał się i narzekał na losy. Od dni kilku dziwny jakiś smutek go trapił, któryby był nazwał przeczuciem, gdyby filozofia Poinso'ta dozwoliła mu przypuścić ten fenomenalny stan ducha. Tłumaczono to podówczas zdrowiem, żołądkiem, mózgiem, chorobą, czem chcąc byle nie duszą, której upierano się nie widzieć w człowieku. Niespokojniejszy był, niż kiedy, więzienie gorzej mu coraz ciężyło, nawet trochę umiejająca go ukołysać rozmowa O. Spirydjona, teraz drogi do serca, zawałonego jakimś ziem-

skiem uczuciem, wynaleźć nie mogła. Starzec czekał ale wzdychał.

— Twarda natura do dobrego — mówił w sobie — rekluzja nawet pożyć jej nie może, przyjdzie może czas upamiętania, ale nie rychło... i kto wie czy przyjdzie?

Pomimo jednak zewnętrznych oznak zatwardziałości, podczaszyc zmieniony był znacznie swoim pobytem u kapucynów — nie otworzyło mu się serce ale zmiękło, nie poprawiły pojęcia, ale uznał, że obok nich istnieją inne, mocą których ludzie w spokoju i zgodzie z sobą i światem żyją — rzucone było ziarno, choć nie schodziło jeszcze.

Sama ta tęsknota, która często poprzedza nawrócenie, dobrym już była znakiem, a zwrot częsty ku dzieciennym latom, symptomem pragnienia innych wrażeń i żywota. Żywił, jak mógł ojciec Spirydjon dobre ziarnka chuchając na nie i pielęgnując, a czekając wschodu, nieraz też kto z gości poufałych klasztoru odwiedzał samotnika przychodząc w pomoc kapłanowi. Tu, do koła pocziwych księży, przy zacytnym O. Spirydjone, krążyły jeszcze ostatki lepszej społeczności, w szczątkach tylko pozostałej w stolicy — nie zepsutej niewiarą, bogatej w uczucia, które zapalał religijny w duszy zasiewa.

Dziwnie zaprawdę wydawali się ci starcy podczaszycowi, który na nich spoglądał z ciekawością, jak na istoty drugiego świata. Mało podobnych wówczas liczyła Warszawa, podzielona na kilka obozów stronnictwami politycznymi, a nie zamykająca w sobie, jak drobną cząstkę tego, co starą Rzeczpospolitą reprezentować mogło. Najpocziwszym już wówczas paliły się głowy reformami dziwnymi, nowostkami, najlepszych doszła zaraza niewiary, obojętności religijnej i cudzoziemszczyzny.

Możemy sobie poniekąd wyobrazić jaki był, rzecz można, szal umysłów, gdy z najlepszymi chęciami, szukano dla kraju lekarstwa w ustawie, którą Russo siadał pisać na serjo. W tym sposobie działało się przecie wszystko — nie budowano na krajowym gruncie, z cudzej myśli przedzono przyszłość, chciano ją zasadzić latoroślą z pod innego nieba wziętą. Wyższa społeczność przy najpocziwszych życzeniach, błędziła wiedzona ideami wieku i z nich się wypłatać nie umiała, przywykła do lekceważenia co swoje. Na wsiach tylko, po zagrodach panował jeszcze duch przeszłości dotąd nietknięty, i tam żyli ci co piastowali ostatek podań krajowych. Świat to był tak dalece różny od tego, który się wyrabiał w miejskich towarzystwach strefach, wyższych zwłaszcza, że każdy głos posła co pierwszy raz rzucił swą cichą chatę, by radzić na sejmie, brzmiał na nim, jak z grobu wywołany przed stu-letnią myślą. I głuchły te głosy nie wielu, niepojęte, niesłuchane, wysmiewane najczęściej, zagłuszane krzykami kilku gardłaczy, gdy, jak współczesny jeden pamflet powiada — Branicki z Sapięchą knuli rzeczy po cichu, Suchorzewski i Suchodolski imponowali sejmowi, Zaleski i Mikorski coraz to nowe podawali projekta, książę jenerał i Stanisław Potocki ustawie perswadowali, Byszewski i Łączyński milczeli, a król jegomość cierpliwie znosił wszystko.

Ta więc społeczność nieznana podczaszycowi, której próbki miał zręcznie poznać u kapucynów, była dlań zupełną nowością. Byli to ludzie, których ubóstwo i wieś uchroniły od nabrania poloru i wieku, u których tradycja czczoną jeszcze była i szanowaną, jak arka narodowa, ostatnie niedobitki Rzeczypospolitej Jagiellońskiej, konającej teraz w objęciu reformatorów. Starzy konfederaci Barscy, z kresami

chlubnemi na głowie, gotowi jeszcze byli pod starość siaść na koń i co dzień chodzili siodła swe i moderunki oglądać; zakonnicy wreszcie, których stan chronił od zepsucia. Maluczki ten świat, który wzdychał, modlił się, płakał i czekał, który miał serce i wiarę, patrzył już tylko na czynnych, ale sam nie był w czynie — miejsce jego zajmowało pokolenie, którego chęci walczyły z fałszywym pojęciem środków. Tu się przysłuchiwał młody człowiek podaniom mało znanej przeszłości, z której wprzód uczono go się naśmiewać, i poznał że szacunku była godna; tu ujrzał, że barbarzyństwo, którym rzucali w oczy zepsuci by się sami od zarzutu wynarodowienia obronić — całe było w fałszywym pojęciu form, których znaczenie zgąsło.

W poważnem tem kole sędziwych, pobożnych, zapłakanych starców i myśl jego spoważniała trochę, choć z zatwardziałością upartą wpływowi ich się bronił. Nieraz już O. Spirydjon miał na ustach słowo z którem wyczekiwał dogodniejszej pory, by nie zrazić niewczesną gorliwością, — a w tem wszystkie nadzieje starca rozsypały się w proch w jednej chwili.

Tegoż dnia, a było to w sobotę, gdy staraniem Fotofero i de Cerullego zgoda z Rybińskim zawartą została, gdy ksiądz biskup kujawski przez króla ukolysany, zezwolił na nieposzukiwanie napastnika synowca swego, — podczaszyca wezwano wieczorem do furty. O. Spirydjon, który wypadkiem chodził, usłyszawszy, że go wołano, a myśląc, że to może sztuka nieprzyjaciół, co dowiedziawszy się o miejscu, chcą go tylko wywabić, zwrócił się do przybyłego i spytał:

— A kogo to żądacie moje dziecko?

Tem dzieckiem był niegdyś marszałek dworu i totumfacki podczaszyca, imci pan Frejer, do którego zrana zabiegł cavaliere, dając polecenie, żeby się do swego pana dostał.

Frejer z początku niechętnie się brał do tego, bo usunawszy się przy rozbiciu z rachunkami, bardzo ślicznie spisanemi, nie miał potrzeby ratować Ordyńskiego, nie posądzając, żeby jeszcze co w kieszeni jego do wyłowienia i obrachunku znajdować się mogło. Słyszając o stanie interesów podczaszyca, będąc świadkiem, jak dom i sprzęty zabierano, myślał, że podczaszycowi caput będzie, jak mówił; jako bardzo porządny człowiek nie chciał się do nieporządnych chudopacholskich spraw mieszać. Cavaliere go dopiero przywiódł do pomiarkowania.

— Co ty sobie myślisz? — zawołał do niego po niemiecku — czy ty nie wiesz, że panowie są, jak koty, które choćbyś rzucił z największej wieży, zawsze padną na nogi i nic im się nie stanie? Pójdiesz do niego i oddasz mu kartkę moją, dodając ustnie, że sprawa z Rybińskim skończona, że nie ma się czego obawiać wyjść na świat; — powtóre, dasz mu list z Florencji, donoszący o śmierci jego matki, a potrzecie dodasz, że jest pilniejszy nad wszystko interes... dla którego powinien spieszyć...

Frejer dobrze się namyśliwszy, wziął kartkę i list i wybrał się do kapucynów, a gdy O. Spirydjon zagadnął, chciał zaraz kartelusz podać, ale pismo z kieszeni znikło, jak kamfora.

— Kogo to żądacie?

— Podczaszyca Ordyńskiego — rzekł Niemiec z poważnym, jak suknia jego, ukłonem.

— Ale — rzekł O. Spirydjon po łacinie, przypatrując się ciekawie Niemcowi — ja tu o żadnym w tej chwili nie wiem.

— Podczaszyc Ordyński Michał! — począł nalegać, wciąż kłaniając się, Frejer.

— Czego od niego chcesz?

— Mam poselstwo, ważne, wielkie, smutne! — łamanym językiem począł, łatając się Frejer, któremu łaciny nie starczyło.

— Cóż takiego?

Niemiec potrząsł głową.

— Jakże się waćpan nazywasz — spytał ojciec — to się pójde dowiem.

Niemiec po raz trzeci się uklonił, a że Polska szlachecka, uczyła szlachectwa wszystkich, a kto w niej parę lat pobyl, już herbownych nabierał pre-tensji, Frejer, syn tkacza gdzieś w Saksonji, odparł:

— Nazywam się Justus Bartholomäus von Frejer!

Z tem poszedł zakonnik do celi i, otworzywszy drzwi, zastał podczaszycą, spartego na stole, a tak zadumanego, że wniksicia jego nie słyszał.

— Laudetur...

— A! dobry wieczór jegomości!

— Powiedz mi, kto jest Justus Bartholomäus von Frejer?

Podczaszyc, który pod tem nazwaniem z trudno-ścią poznał swego dawnego pełnomocnika, nie rychło wykrzyknął:

— A! Frejer! to mój niegdys totumfacki! ale skądże go znacie, mój ojcz?

— Jak myślicie, czy to uczciwy człowiek? — spytał O. Spirydjon — nie zdradziłby was?

— Ale nie! to człek dobry, flegmatyk, Niemiec, i okrutnie regularny w registrach, o pieniądze trudno z nim było zawsze, ale co w rachunkach nikomu się nie da przepisać!

Rozśmiał się kapucyn.

— No, to może chcesz się z nim widzieć, czeka u furty!

Podczaszyc ruszył, chcąc wybiec, tak mu za-

pachniało stare życie, którego Frejer był przypom-nieniem, ale go ksiądz powstrzymał.

— Czekaj, bezpieczniej ci go tu wprowadzić!

I, rzuciwszy na podczaszycą pełnem litości wej-rzeniem, wyszedł, a po chwili wsunął się Frejer, kłaniając bezustannie. Ordyński o mało go w pierw-szym zapale nie uściskał — tak był głodny wrażeń, plotek świata...

— Jakżeś mnie tu wyszukał?

— Posłał mnie cavaliere Fotofero — miałem nawet listek, — ale Niemiec zaczął szukać po kie-szeniach. — Co to jest? Dziwna rzecz! ja nigdy nic nie gubię! Dziwna rzecz!

I brwi podnosił i ramionami ruszał i rewizją su-kni rozpoczynał jaknajsumienniejszą, ale listu zna-leźć nie mógł.

— Nie pojmuję, jakim potrafił zgubić.

— No ale wiesz przecie — zniecierpliwiony tą zgubą i flegmą, z jaką Niemiec, ledwie skończywszy poszukiwanie, znów je na nowo przedsiębrał — ależ wiesz, z czem cię posłano?

— Cavaliere Fotofero mówił mi... ale jakże ja mogłem zgubić kartkę! — powtarzał Frejer, który poczynął wywracać kieszenie, aby je poznać, że były rewidowane.

— Zgubiłeś, toś zgubił, mniejsza — tupnął nogą Michał — ale mi mów, z czem cię posłano.

— To nic, ale jak mogłem zgubić list! — zawo-łał niepokonany Niemiec — to niepojęta.

Nareszcie, gdy wszystkie kieszenie, kieszonki, chutski, kapelusz, najsumienniej przejrane zostały, Niemiec westchnął.

— To niepojęta! — rzekł.

— To niepojęta, jaki ty jesteś nudny — zawołał

podczaszyc, przeskakując z nogi na nogę — mów naprzód, z czym cię posłano?

— Kazano mi powiedzieć, primo — tu Frejer, zobaczywszy kieszenie powywracane i suknie rozpięte, znów je do porządku zaprowadzać się zabierał — 1-mo, że JW. pan śmiało i bezpiecznie wyjść już możesz, gdy sprawa z panem Rybińskim skończona, a król Jegomość księdza biskupa wziął na siebie; 2-do, że z Florencji przyszła smutna wiadomość pod datą...

— Co? od mojej matki?

— JW. podczaszyna nie żyje! — flegmatycznie z ukłonem rzekł Frejer.

Ordyński rzucił się na krzesło, łamiąc ręce.

Szczerze on przywiązany był do matki, choć między nim, a nią nie widać było tej czułości, która rodziców z dziećmi wiązać powinna, ale u obojga zatajone tłało uczucie, któremu tylko zimny wieku obyczaj na wierzch wyjść nie dozwalał.

Chwilę podczaszyc pozostał tak w smutnem zadumaniu, które Niemiec tem łatwiej poszanował, że użył tej chwili spoczynku na nowe poszukiwanie w kamizelce i pludrach, równie bezskuteczne, jak pierwsze.

Michał zapłakał nad sobą i nad nią... na obcej ziemi w sieroctwie zmarłej. On także uczuł się sierotą i zadrżał, myśląc, że na jednego Boga tylko śmiało rachować może.

O. Spirydjon, który się ukazał w tej chwili, zastał Niemca jeszcze się systematycznie przetrząsającego, a podczaszycą we łzach. Łzy te niemal go uradowały, bo płacz, to owoc serca, a nie każdy zapłakać może!

— Al co ci to, dziecko moje! — zawołał z uczuciem — co ci to jest?

— Odebrałem wiadomość o śmierci matki.

— Módlmyż się za jej duszę — rzekł po cichu kapucyn, klękając... i począł głośno — Anioł Pański.

Niemiec stał i patrzył, podczaszyc zawahał się, by za starym modlitwę powtórzyć — choć myśl już była gdzieindziej.

— Cóż teraz myślisz z sobą? — spytał powstając O. Spirydjon.

— Właśnie mi przyniesiono wiadomość — odpowiedział podczaszyc — że sprawa moja o zadanie rany Rybińskiemu skończona, dzięki przyjacielom. Śmierć matki wkłada na mnie nowe obowiązki i zająęcia — muszę wyjść natychmiast, ojcze pozwól, bym ci złożył serdeczne dzięki za gościnność!

Starzec patrzył na niego prawie rozczulony.

— Ha,— wyjąknął powoli — idź w imię Boże — ale wolałbym był, żebyś tu jeszcze pozostał. Świat, stary bałamut, znów ci obejmie i omami, i to coś w sobie wziął ze spokojnej, świętej tych murów ciszy, zwietrzeje rychło. Bogdajbyś kiedy przypomniał sobie te dni rozmyślania i pokoju, jakieś tu spędził!

A jeśli cię serce zaboli, powróć tu do nas, panie Michale — powróć do nas, do Boga... tam... może ci na chwilę weselej się zda, ale, przeschumiawszy godziny policzone... żal ci ich będzie, bo każda owoc dać powinna, a te ci i kwiatu nawet nie zostawią po sobie!

— Dziękuję ci, dziękuję ojcze — powtarzał podczaszyc.

— Dziękujesz, płaczesz, ale dla czegoż tak ci się wyrwać pilno? Idź więc... idź! i niech cię Bóg ręką starca błogosławi!

Frejer jeszcze szukał, nic nie znajdując dotąd, podczaszyc trochę rozczulony, ale odzyskaną swobo-

da rozgrzany, pochwycił za płaszcz i kapelusz—wyszli. — O. Spirydjon milczący, przeprowadził ich do furty, otworzył drzwi i krzyżem za podczaszycem, ściskającym dłoń jego, drogę przeżegnał.

Wieczór już był dość późny — Ordyński, spojrzawszy w gwarną ulicę, na ruch i zgiełk miejski — zastanowił się odurzony, serce mu bić zaczęło.

— Frejer — rzekł — przyprowadź mi fiakra, iść nie mogę.

Powolnie rozmyślając Niemiec, odstąpił kilka kroków, zbierając się iść i obrachowując, gdzie mu najbliżej będzie znaleźć żądany powóz, gdy zdyszany, przerażony, z wyrazem boleści i rozpacz na twarzy, stary Sieniński wpadł na wschodki, wiodące do furty i nie postrzegłszy, potracił podczaszycą.

— A, to ty, stary!

— A, to pan!

— Co ci jest, Sieniński?

— A nieszczęście! okropne nieszczęście! wykradziono, porwano gwałtem, zdradą, podejściem moją Anusię, moje dziecko... nie ma jej! panie ratuj!

To mówiąc, starzec ów, tak zwykle powolny, co od pół życia drzemał więcej, niż żył, tknięty w serce, powalił się u nóg podczaszycy i zaszedł z gorzkiego płaczu.

— Co? gdzie? jak? co się z nią stało? mów! mów!

Chwycił się Ordyński zapłoniony, bo wspomnienie Anusi wzruszyło go do szaleństwa.

Ale stary Sieniński, prawie nieprzytomny, ciągnął go, chwycił za nogi, nie prawie mówić nie mogąc, i przerywanym tylko powtarzając głosem:

— Córka moja! moja córka — mój skarb! Anusia moja!

W tejże chwili, jak na zawołanie, z głębi cie-

mności nocnych zjawił się o parę kroków od nich, płaszczem owinięty, Fotofero. Stał on, patrząc na obu i uśmiechał się złośliwie. Podczaszyc pierwszy go postrzegł.

— Cavaliere, ty tu...

— Na usługi wasze, jak widzicie... już pan wiesz o porwaniu Anusi?

— A ty?

— A ja od dawna.

— Kiedyż się to stało! kiedy! kto? jak?

— Dziś dopiero! przed chwilą ledwie!

— Wiesz, gdzie jest?

— I kto ją uwiózł, i jak i dokąd i dlaczego, wszystkio wiem — rzekł zimno cavaliere. — Może to się połata — uśmiechnął się — ty stary, powracaj do domu, a my ci, trochę poczekawszy, przywieziemy córkę. — To mówiąc, klasnął w ręce, i fiakr z ciemności się wynurzył, a podczaszyc cały zburzony, nie oglądając się już na płaczącego starca, skoczył z Fotoferem do powozu. Na dany znak, skry posypały się z pot kopyt koni, polecieli...

V.

— Dokąd mnie wiesz? — spytał, oprzytomniając się Ordyński — gdzie ona? co to za porwanie? mów, proszę cię... zaklinam.

— Cała ta historia funta klaków nie warta — rzekł poważnie Włoch — źleś waćpan zrobił, żeś się w tym klasztorze zamknął, gdzieś z nudy mógł suchot dostać, a świat cały zgubiłeś z oczu. Mówiono wiele o Anusi tymczasem, bo mówiono o tobie, podkomorzemu Brańskiemu głowa się zapaliła, zaklął się i założył, że Anusię mieć będzie — i...

— Co, ten łysy rozpustnik! ten karciarz przebrzydły, śmiałyby dotknąć Anusi?

— Al! al! — rzekł cavaliere — a cóż to znowu za drogocenna perła — dziewczyna, jak inne, tylko podkomorzy zrobił po swojemu, nie chciało mu się popracować samemu, zapłacił Szwedzkiej, Szwedzka ją wykradła i zawiozła mu do jego domku na Nalewki!

— Prędzej! prędzej! — zakrzyczał podczaszyc. — Na Nalewki — na Nalewki, nie mogę zrozumieć, dokąd się fiakr kieruje.

— O! jakże ci pilno! — szydersko rzekł cavaliere. — Kochasz ją! przyznaj się?

— Nie czas mówić o tem, podkomorzemu łeb roztraskam, serce wydrę — to zwierz nie człowiek! dla dogodzenia fantazji, gotów by krzyż zdjąć z kościoła! prędzej na Nalewki.

Cavaliere patrzył mu pilno w twarz.

— Nic nie mam — rzekł — przeciw zabiciu podkomorzego i kogo ci się podoba, ale pamiętaj kochany podczaszycu, żeby to nie był drugi tom sprawy z Rybińskim.

Podczaszyc nie słuchał, powtarzając swoje:

— Na Nalewki, żywiej! zapłacę konie! niech popadają!

Konie też leciały, jak ptaki, a jemu krew kipiała, twarz płonęła, dłoń drżała, bo poczuł, że kocha Anusię i byłby się rzucił za nią na całe piekło.

Cavaliere śmiał się tylko z pod zakrzywionego nosa. Stanęli nareszcie u bramy zamkniętej.

— Tylko nie krzycz — rzekł do niego towarzyszy — cierpliwości! wpuszczają tylko proszonych, ja znak wiem, otworzą nam.

To mówiąc, wysiedli, Fotofero zapukał do wrót zamkniętych, trzy razy po trzy, furtka otwarła się

natychmiast, podczaszyc odepchnął Włocha, który znikł, stróża, co się go chciał spytać o hasło i wpadł w dziedziniec, instynktem się kierując, na oświecone wschody, które po cztery na raz przeleciał! uderzył do drzwi oświeconej salki i cały jeszcze rozpłomieniony, oszarpany, rozpięty, wskoczył w tłum mężczyzn, wśród których, szukając oczyma, nie znalazł kobiety.

Towarzystwo wesoło się zabawiało, choć bez gospodarza, śmiano się, szeptano, rozmawiano w kupki pozbijawszy. Oczy wszystkich zwróciły się na podczaszycą, a że wcale był niespodziewany i gniewny, skupiono się dokoła. Ordyński rozepchnął ich i popędził, słowa nie mówiąc, do drzwi, wiodących w głąb domu. Trafił na salę jadalną i stół zastawiony wspaniale, przebiegł ją, oparł się o drzwi zamknięte, które wyłamał i przez ciemny jakiś pokój dostał się do sypialni podkomorzego, z której dochodzący go głos płaczliwy do reszty gniew jego rozniecił. Na środku pokoiku, sam na sam z podkomorzym, który stał, jak do modlitwy ze złożonymi rękami w pokornej i błagającej postawie, Anna trzęsąca się z gniewu, we łzach, ale z oczyma ognistemi oburzeniem, sparta o stół, wołała.

— Proszę mnie stąd wypuścić! Co to jest? kto pan jesteś! jak pan śmiesz.

— Jam twój wieczny sługa — mówił podkomorzy.

Na te słowa wpadł, jak burza Ordyński z dobytą szpadą i równocześnie krzyknął:

— Kto on jest! nie godzien pocziwego imienia, które nosi! szubienicznik i zbójca!

Podkomorzy porwał się na hałas, jakby go kto ranił, cofnął, spojrzał, osłupiał z zadziwienia, zoba-

czywszy podczaszycą. Anusia skoczyła ku niemu, rzuciła się i wykrzyknęła:

— A pan Michał, mój zbawca!

I w tej chwili u nóg się jego osunęła zemdlona.

Podkomorzy nie zebrał się jeszcze na żadną odpowiedź, tak go napaść ta zmięszała, gdy Ordyński, rzuciwszy nań wzrokiem wściekłym, na ręce chwycił zemdloną i szpadę wzięwszy w zęby, wyszedł na-
zad przez jadalną do sali. Tu gwar i zamieszanie znalazł wielkie — wszyscy znając już gwałtowność Ordyńskiego, obawiając się krwi przelewu, lecieli rozbierać. Ordyński na chwilę złożył ciężar swój na kanapie, szpadę wsunął w pochwy, stanął i drżący, przerywanym zawołał głosem:

— Mielicie panowie być świadkami, jak sobie ten łotr igraszkę chciał zrobić z niewinnej i poczciewej kobiety — zaprawdę piękna zabawka! Biorę was za świadków, że go lżę i zbezczeszczam do ostatniego, że go mam za najpodlejszego z ludzi, i że tę rękawiczkę rzucam, jakbym mu rzucił policzek w twarz, gdyby wart był, żeby go poczciewa ręka dotknęła.

— Podczaszycu oszalałeś! — szepnęło kilku. Ale on, nie słuchając, wziął znowu na ręce omdlałą i z pośrodku rozstępujących mu się wyszedł, niosąc ją na wschody. Dwie łzy wrzące lały mu się po twarzy, to bladej, jak mur, to czerwonej, jak ogień.

Po za nim szmer, gwar i hałasy powstały. Podkomorzy niewidzialny stał na progu sali, gdy go lżył podczaszyc, ale się nie ukazał, wszedł po zniknięciu jego, cały pomiészany i wylękły. Goście milczeli, spoglądając po sobie, nie wiedząc, jaką tu robić minę, najprzezorniejsi wynosili się po cichu, nie mając już na widoku wesołej wieczery i hulanki.

— Słyszeliście! — poprawiając stroju i fryzury,

rzekł podkomorzy, bladej jeszcze i niemogący przyjść do siebie. — Nikt nie odpowiedział.

— Bał apelacja do Jeziornej! — brząknął ktoś, poczekawszy.

— Jeszcze Panu Bogu podziękuj, że cię, jak Rybińskiego nie przekłuł, bo jak widać, na żartach się nie zna.

Podkomorzy zaciął usta.

— Ha — rzekł, usiłując się nadstawić i minę nadrabiając — mniejsza o Jeziornę, na dwoje babka wróżyła, ale mi żal tego ślicznego dziewczęcia. Ledwie ją Szwesia przywiozła, ledwie perswazjami pierwszy strach i płacz utulać począł, spodziewając, że to się skończy ślicznie, pięknie i spokojnie, a tu go licho przyniosło! skąd-że się wziął? wszakże był zagranicą?

Gospodarz próżno się silił zatrzeć wrażenie tej sceny na gościach. Towarzystwo było zwarzone, najserdeczniejsi ledwie coś pod nosem pykali niezrozumiale, obojętniejsi milczeli, przypatrując się zdaleka, a przyjaciele z pokoju pouciekali.

Nie brakło i tych, co już sztychili po cichu — wesołości ani sposób wyprosić!! — wieczór zupełnie się nie udał!

Tymczasem podczaszyc, niosąc na ręku Anusię omdlałą, a niekiedy konwulsyjnie go, jakby przez sen odpychającą, zbiegł ze wschodów w dziedziniec, dopadł bramy, którą mu coś otworzyło i stanął w ulicy, rozglądając się na wszystkie strony.

O kilka kroków czekał nań cavaliere z powozem! Anusia jeszcze była całkiem nie odzyskała przytomności.

— A! — plaskając w dłonie, zawołał Fotofero żywo podbiegłszy — w poręśmy przybyli, siadaj i jedźmy!

co ci się stało panie Michale? — cofnęła się — natychmiast! natychmiast!!

Podczaszyc umilkł zawstydzony, chciał konie zawrócić, ale ich już nie było, odjechał niemi Włoch.

— Poszlemy po inny powóz — rzekł smutnie — ten odszedł... tymczasem zajdź do mnie.

— Nigdzie! ani na chwilę, tylko do ojca — stanowczo odpowiedziała Anusia, której charakter powracał z przytomnością.

— Chodźmy pieszo!

Frejer i służba stali w milczeniu.

— Po powóz i konie! hej prędzej! — rzekł dosyć niechętnie Ordyński.

Anusia sparała się o mur i milcząca pozostała z głową zwieszoną, zażawionemi oczyma... Stali tak długą chwilę, słowa nie mówiąc do siebie, Anna tylko niecierpliwiała się coraz bardziej nieprzybywającemi końmi, nareszcie sługa powrócił oznajmując, że dla spóźnionej pory fiakra nigdzie znaleźć nie mógł.

— Więc idziemy piechotą! — powtórzyła żywo Anna, podnosząc głowę — idziemy!

Ordyński prosić już nie śmiał, bo nań spojrzała tym wzrokiem, który usta zamyka, musiał ją prowadzić.

Noc ciemniejszą się coraz stawiała — po domach i kościołach poznał podczaszyc, że byli na drugim końcu miasta, ale wiedząc, że Anusia co raz powie, to dotrzyma, nie sprzeciwiał się jej więcej. Szli więc z jednym tylko sługą, który niósł latarnię, mając nadzieję spotkać gdzie przypóźnionego fiakra, a Anna odzyskawszy siły śpieszyła tak, że za nią zdążyć było trudno. Podczaszyc milczał chmurny, jakby na przekór jeszcze nadeszła burza, puścił się deszcz ulewny, a dziewczę nic nie czując prócz powinności wrócenia do ojca, pędziła po śliskim bruku.

Ta podróż w milczeniu, ciemności, wśród burzy odbyta, trwała niezmiennie długo — błądzili po uliczkach nieznanym, szli, wracali i na większe wydobyć się nie mogli. — Po mozolnej włóczędce znaleźli się jakoś na Krakowskim Przedmieściu i choć już nie bardzo było daleko, podczaszyc dostawszy przecie fiakra, namówił Annę by siadła; zajechali przed dworek, w którego oknie paliła się jeszcze świeczka, ale bramę znaleźli już zatarasowaną, dowód że Kasper nie zapomniał bać się o swe pieniądze. — Uderzono do wrót gwałtownie, Hołodryga śpiący nie rychło się zbudził i odryglował. Wchodząc do izby zastali braci w żywej z sobą kłótni, której tylko słów kilka do ich uszu doleciały.

— Waszmościne głupstwo i chciwość wszystkiego tego nieszczęścia przyczyną — wołał Jan — myślałeś o pieniądzach, a zgubiłeś mi córkę? kto cię wie czyś mego dziecka sam nie sprzedał.

Wyrazy te straszne podyktowała rozpacz.

— Panie Janie, opamiętaj-że się — odpowiedział Kasper żegnając — co ci jest? Wszakem cię tu do siebie nie zapraszał, a com ja winien, żeś ty sam tej awanturnicy dziecko swoje polecił?

— Albożeś mnie na to nie namawiał?

Na te słowa weszła Anusia rzucając się w objęcia ojca. Stary pochwycił ją nie wierząc oczom swoim, padł na kolana, i zobaczywszy dopiero podczaszycą, ku niemu podbiegł objął za nogi, zabełkotał niezrozumiale, mowę z radości tracąc.

Kasper stał także, jak wryty, kiwając głową ale nie wiele okazywał uczucia; po chwili radość powróciła im przytomność. Ojciec jednak wymawiał ciężko, zająkiwał się i z wielką trudnością zdobywał na słowa. Chwycił rękę Anny, patrzył na nią i na chwilę od siebie puścić nie chciał.

— Jakżeż to było? — odezwał się wreszcie gospodarz zbliżając ku Anusi — powiedz bo nam aspanna.

— A pozwólcie mi wprzód myśli zebrać — odpowiedziała Anusia — drzę jeszcze cała, w głowie mi się przewraca... Wiecie, jak mnie ta jejmość namówiła na dzisiejszą przejażdżkę i zabawę wieczorną i jakem się ja jej dziecinnie pociągnąć dała.

— A jam głupi pozwolił — przerwał ojciec zachodząc się z płaczu.

— Dalibóg jam nie nawamiał wcale — po cichu dodał pan Kasper.

— Jakto nie? a któż?

— Ty prędzej! A co mnie do Anusi! chcieliście, toście i zrobili co chcieli! nie moja to wina!

— Dosyć żem się dała namówić i pojechała z nią — przerwała spór Anna — naprzód zawiozła mnie do swego domu, tu, żem była jak zazwyczaj bardzo skromnie ubrana, naprzód mnie wymuskała pomimo mojego oporu, i dopierośmy siadły z nią do powozu. Pojechaliśmy naprzód do jakiegoś ogrodu, gdzie prawie do zmierzchu przechadzałam się z nią po bocznych uliczkach. Szła ze mną zakwefiona, mało mówiąca, czegoś niespokojna.

Jakiś jegomość, który tu raz był we dworku, przyplątał się potem do nas, zaczepiał mnie, a choć odpowiadać nie chciałam, sam mówił długo, śmiał się, żartował; zbywałam go, jak tylko mogłam, nareszcie pożegnał nas i odszedł, a my chwilę jeszcze zabawiwszy, siadłyśmy do powozu.

W drodze jejmość ta powiedziała mi, że musi odwieźć jakąś tam przyjaciółkę, do której na chwilę wstąpimy — nie bardzo mi się to podobało, ale z nią jadąc sprzeciwić jej nie mogłam. Zjechaliśmy w ustronną ulicę, a już się i zciemniać zaczynało, na-

stępnie do dworku jakiegoś, którego bramę zaraz za nami zamknięto, a ja z nią weszłam po wschodach na górę. Minawszy parę pokjów, które mnie zdziwiły, żem nic kobiecego nie widziała, w jednym, w którym się tylko paliła lampa od sufitu wisząca, kazała mi pozostać, mówiąc — posiedź tu chwilę, ja zaraz powrócę!

Chciałam się wymawiać i do powozu zejść, ale ledwie tych słów domówiwszy, znikła drugimi drzwiami, a mnie zaraz dziwny jakiś strach ogarnął, obejrzałam się i zdziwiona poznałam, że to być musi mieszkanie mężczyzny.

Cicho było dokoła, poskoczyłam do drzwi, jedne były zamknięte na klucz, próbuję drugich także, przerażona chciałam krzyknąć, gdy drzwi których próbowałam otwarły się, wszedł ten pan co z nami mówił w ogrodzie i ukląkł przedemną.

Nie pojmowałam co to wszystko znaczyć mogło, i słów którymi się odzywał nie rozumiałam nawet, wiem tylko, że przysięgał, obiecywał, zaklinał i porwał mnie za rękę, którą gwałtownie mu wyszarpnąwszy oparłam się o stół właśnie, gdy pod czaszyc drzwi wyłamawszy pierwszy wpadł do nas... Więcej nic nie wiem, bom zaraz zemdląłem.

Anna rozplakała się.

— Dzięki Bogu co cię ratował i tobie panie, żeś nad nami miał litość — odezwał się Sieniński. — O! ja bym był nie przeżył tego! truchleję jeszcze wspominając!

W pierwszej chwili, gdy zmierzchno, a nie powracała Anusia, zaraz mnie tknęło, pobiegłem do mieszkania tej gałganicy... Już tam nie było jej ani śladu — mieszkanie stało pustką, powiedzieli stróże, że na wieś się gdzieś wyniosła.

— To była namówiona zdrada! — krzyknął Ka-

sper — ale któż by się jej mógł spodziewać, tak to stworzenie udawało układną i pobożną kobiecina!

— Waćpan pierwszy nas pociągnął swoją ławowiernością!

— A nie byłeś ze mną u niej na kawie? a nie mówiłeś sam, że bardzo przyjemna kobiecina?

— Któż pociągnął i znajomość zrobił! — począł znów Jan.

I bracia kłótnię na nowo mieli zagaić, gdy Anna, całując ojca w rękę, usta mu zamknęła; postrzegli oba podczaszyca i zamilkli.

Ordyński w którego duszy nie wiem co się działo, chmurny, złamany, gniewny, wstał z krzesła po chwili, spojrzął na Annę z wymówką gorzką i pożegnał kłaniającego się straca, rzucając mu smutek na pożegnanie.

— Módl się za duszę mojej matki!

— Podczaszyca nie żyje! — zawołali ojciec i córka z wyrazem serdecznego bólu! — nieszczęście! nieszczęście!!

Podczaszyca odwrócił się i uszedł.

VI.

Z wielkiem podziwieniem swoim, podczaszyca w bramie zaraz spotkał się z cavalierem Fotofero, który w płaszczu obwinięty, zdawał się nań oczekiwać; w milczeniu ujął pod rękę Ordyńskiego, wsadził do powozu i dał znak woźnicy, by jechał do nowego mieszkania.

— Zkądżeś tu znowu? — spytał zdumiony podczaszyca.

— O to mniejsza — odparł Fotofero — ale cóżes to najlepszego zrobił pan, dając tak z rąk sobie ujść ulubionej dziewczynie; na to potrzeba być...

— Cóż chciałeś, żebym ją gwałtem zatrzymał! Ty jej nie znasz!

— Nie znam jej, ale znam kobiety — odrzekł machając ręką Fotofero — czasami czekają trochę gwałtu, by się poddać. Ale mniejsza o to, kto wie? Lepiej się tak może stało, choć myślałem, że będzie inaczej. Cóż ci mówiła o podkomorzym, Brańskim, jak ją porwano? kto? wszak pewnie rozpowiadać musiała?

Podczaszyca niechętnie i krótko powtórzył powieść Anny, a cavaliere śmiał się wciąż, oczy mając wciąż wlepione.

— I pan temu wszystkiemu wierzysz? — rzekł pocichu, gdy podczaszyca dokończył! — cha! cha! miałby podkomorzy być takim, jak pan ceremoniantem?

Ordyński zerwał się z siedzenia, wielkim głosem zawoławszy:

— Milcz! milcz! — Oczy mu się zaśkrzyły, pierś wzdęła, oburzył się, ale podejrzenie było wrzucone w duszę i rosnąć w niej już mogło. Cavaliere nie żądał widać więcej, gdyż zaraz zręcznie bardzo zwrócił rozmowę, a podczaszyca przypomniawszy śmierć matki, zwróciwszy myśli w inną stronę, smutny, do domu, słowa nie rzekłszy, przyjechał.

Na progu chciał go Fotofero pożegnać, ale Ordyński poczuwszy się do wdzięczności dla niego, pociągnął go za sobą.

— Na ten raz służyć nie mogę — rzekł cavaliere wyrывая się — pilna sprawa woła mnie gdzieś indziej, ale mam rad, że się pozbywasz dawnego ku mnie wstrętu i przekonywasz, że ci spryjam szczerze. Ja to sprowadziłem de Cerullego dla oczyszczenia ciebie, ja jeden pamiętałem o tobie gdyś się skrywał, ja natchnąłem twoich dawnych przyjaciół, ja postarałem się o zgodę z Rybińskimi — ja wreszcie wcześniej za-

wiadomiłem o tobie jenerała, który już czeka na górze.

To mówiąc potoczył się po schodach i znikł w ciemnościach.

Podczaszyc wszedł wolnym krokiem do swego mieszkania, ociągając się, bo mu teraz oznajmione odwiedziny Bauchera wcale nie były na rękę, potrzebował sam na sam smutek swój i znużenie wydychać!

— Ha! — rzekł w duchu — jenerała się pozbędę łatwo; gdy zobaczy, że go czem przyjąć nie mam, prędko się wyniesie.

Ale się bardzo mylił w rachubie podczaszyc, bo zastał starego zjadacza nad wielkim półmiskiem ulubionych raków i kilku butelkami wina, z serwetą szczelnie pod brodę zatknietą, siedzącego wygodnie i zajądającego bardzo smacznie.

— Podczaszyc! kochany mój podczaszyc! a witajże! — odezwał się Baucher rozstawiając ręce do uścisku — przecież nam cię fata szczęśliwie wraca! Czekam cię od godziny i dziękuję ci żeś nie zapomniat o mnie, a kazał mi przygotować przekąskę. Raki dobre, tłuste, duże, wino wcale niczego, ser szczypiący... No, teraz opowiadaj mi swoją Odyseję i radźmy co począć.

To mówiąc, Baucher już znów zajał, popijał, *haec faciendo et haec non omittendo*, rozpoczął razem butelkę i rozmowę; podczaszyc upadł przy nim na kanapę.

— A fel — odezwał się jenerał spojrzawszy mu w oczy, czy to się już godzi tak tracić ducha dla mizerji! Umarła matka, wszyscyśmy śmiertelni, zdradziła cię kochanka, któraż z nich nie zdradza? Nadzastałeś majątku, to rzecz do zreperowania; znudziłeś się klauzurą, tem ci lepiej światek będzie smakować. Jutro będziemy z tobą u króla.

— Po co?

— Takeśmy ułożyli, król cię z Rybińskimi *semitis arbitris* pojedna, a potem pokażesz się na dworze, publicznie, i rzecz skończona. Sam słyszałem jak N. Pan dowiedziawszy się o śmierci pani podczaszynie, powiedział: Jam teraz jego opiekunem.

— Ale ja mam gotowe drugie zajście z podkomorzym, które mnie znów N. Pana narazi.

— Co? on cię wyzwał?

— Nie, alem ja go publicznie złażał!

— A ba! nikt tego nie słyszał prócz przyjaciół zapewne, byłeś w pasji, chodziło o kochankę, to już ja wiem wszystko, rzecz do załatwienia, obejdzie się bez kawalkaty do Jeziornej. Myśl lepiej, jak czas stracony nagrodzić, a nie o tem! Młodość krótka! przejdzie, jak z bicia trzaś, a! a! — westchnął — siły codziennie opuszczają, żołądek się psuje, trzeba kochać i jeść nie spuszczać się na jutro.

Widząc, że te perswazje mało robią skutku, otarł Baucher usta po rakach, nalał szklanicę, rozsiadł się wygodnie na kanapie, i podśpiewując z cicha, poglądał na podczaszycę, który, jak mruk milczał posepnie.

Złamany wypadkami Ordyński, ust jakoś otworzyć nie mógł, bo i myśli skupić nie umiał. Odrętwiały spoczywał w tem osłupieniu, którego doznajemy, gdy wielki cios niespodzianie w nas uderzy. Noc już była uszła do połowy, gdy widząc się zawadnym, a rozrachowawszy, że ruch powozu dalszemu ciągowi strawności szkodzić już nie może, Baucher ścisnął za rękę Ordyńskiego i kazał sobie podać karetę.

Dopiero po jego odjeździe zwlókł się podczaszyc obejrzeć swoje mieszkanie, i znalazł je urządzone na bardzo pańską stopę, obszerne, a co dziwniejsza, połowę w nim swoich dawnych sprzętów, jakimś cudem ocalonych. Na miejscu, które zawsze zajmował Ar-

chaniol-Michał, pozostały u kapucynów, wisiał tejże wielkości prześliczny obrazek, wystawujący scenę wszechecną, starego i mistrzowskiego pendzla.

Podczaszyc rzuciwszy okiem po pokojach, uczuwszy się niesłuchanie zmęczonym, padł prawie w łóżko i zasnął.

Gdy się przebudził, już nad nim stał jenerał ubrany paradnie, i rozkazawszy podać czekoladę, nalegał na podczaszyc, aby się co prędzej ubierał.

— Musimy spieszyć do zamku! — rzekł — bo król wyjechać może — a zatem duchem mi się ubieraj.

Przetarłszy ledwie oczy, posłuszny rozkazowi podczaszyc chwycił się z łóżka, przeszedł do garderoby, a jenerał pozostał przy czekoladzie, której wyziew połykał, studząc powoli. Tak się też dobrze obrachował z nią, że gdy ostatniego biskopu dojadła i wodą go popijał, wyszedł Ordyński gotów, i zaraz ruszyli do zamku.

Była to godzina, w której król przyjmował tylko poufałych *à son petit lever*, w czasie gdy Brunet i Russo pracowali z fryzjerem około stroju i głowy Jego Królewskiej Mości. Sekretarz zwykle czytywał wówczas, jeśli nie było nikogo, listy prywatne, lub *Reverdil* przychodził z jakąś świeżą broszurą, najczęściej zaszepiającą czoło królewskie. Czasem, gdy listów nie było, a król słuchać czytania nie miał ochoty, wpuszczano Byszewskiego, Komarzewskiego, Kického, Garczyńskiego, Bacciarellego i innych, a ci przynosili z sobą nie zawsze wesołe nowiny miejskie i zakulisowe, wiadomości sejmowe. Niekiedy król tę godzinę wyznaczał tym, których chciał przyjąć sekretniej, rozmówić się w cztery oczy. Pomimo jednak, że jenerał z podczaszycem byli na liście zajęć tego poranku, nie zaraz ich przypuszczono; musieli

czekać w gabinecie przyległym, bo król zajęty był właśnie rozmową, z ks. Łuskiń, biskupem kujawskim i kilku najpoufalszymi już u niego się znajdującymi.

Ta urywkami dochodząca oczekujących rozmowa, malowała dobrze charakter króla, i stosunek jego do stronnictw, które ważniejszą na sejmie grały rolę. Partja własna królewska i prymasowska nie liczyła ani wielu, ani znakomitych ludzi, i sama przez się była bezsilną; prymas jeszcze odepchnął od siebie jednym niezręcznie wyrzeczonym i wielki rozgłos mającym wyrazem, *zgraja* napiętnowawszy przeciwników wszelkiego rodzaju, czego mu darować nie chciano. Partja Potockich i Czartoryjskich trzęsła tymczasem sejmem, a hetmańska i sapieżyńska podkopywała go intrygami pokątnymi, niewidocznymi, dopiero dającymi się czuć w skutku. Król bez zasady własnej, dobojętniały, przechylał się to do jednego, to do drugiego stronnictwa. Stosunki dawne, poufałe i pewne węzły, co się nigdy całkiem rozprządz nie dają, łączyły go z hetmanem, Sapiehami, ostatek serca i szlachetności pociągał ku reformatorem. Nie mógł obojętnie patrzeć na usiłowania, którym poklaskiwała opinia, które nosiły cechę bezinteresownej miłości kraju. Ale te popędy szlachetniejsze trwały chwilę, niewiara, wątpliwość, rozcinała nić ich pajęczą i król do hetmana powracał.

— Księżu biskupie, słysząc było cicho mówiącego króla — szczerze powiadam, ja nic dobrego nie przewiduję. Ludzie niektórzy chcą dobrze, ale z nich nikt nie wie, jak począć; inni sami nie wiedząc czego chcą, krzyczą, ostatek daje się ciągnąć interesem, przyjaźnią, stosunkami. Ba, są i tacy co o niczem nie myślą, byle mowę rozgłosną wydeklowali, syci. Wszystko to daj Boże by z dymem a nie ze krwią poszło.

Nikt zdawało się nie odpowiedział na to królowi, lecz po chwili odezwał się ks. Łuski.

— N. Panie, ci co pragną reform dla kraju, nie darmo ich żądają, a wiedzą czego chcą i czemu; drudzy też co by się przy starem radzi osiedzieć, mają swoją rację — boją się z domu wyszedłszy, zabłądzić w lesie... Usiłowania wszystkich wydadzą wreszcie owoc wspólny, da Bóg piękny i smaczny. Powiększenie wojska, przyłączenie się wszystkich a z niemi i duchownych do ciężarów publicznych, skasowanie zgubnych elekcji, przypuszczenie nie-szlachty do praw wyjątkowych, dotąd *nobilitati exclusive* służących, reformy te godne statystów, co je przedsięwzięli.

— Ja też ich wcale nie ganię — rzekł król — ale mi nikt wlać nie potrafi przekonania, żeby się to na co zdać miało: kiedy człowiek umiera, próżno myśleć, żeby mu bolący ząb wyrwać... A przytem, mój dobrodzieju, kraj nie przerabia się od fundamentów jednego dnia, na zawołanie — to darmo. Mnie nikt nie wszczepi nadziei, choćbym może za nią życie z ochotą sakryfikował.

— Byle król był z nami, dodał ks. Łuski, wszystko dobrze będzie...

Suchy śmiech był pierwszą odpowiedzią.

— *Utinam sis vates*, dodał Stanisław August, ale ten król nie wiele wam pomoże. W Pan mości księżę Łuski, lepiej wiesz jak na obrady patrzy opinia, co też tam słyhać o ostatnich ustawach? Co one wywołały!

— Co? *Rozmowy umarłych!* — przerwał biskup kujawski szybko.

— Słyszałem o nich, odparł król — kto to pisał? nie wiecie?

— Ani się domysleć — rzekł Łuski, — ale chodzą dosyć po rękach i nie bez wrażenia.

— Trzeba żeby mi Reverdil kiedy drugą przeczytał, — dodał król — do której słyse wprowadzono Dekreta, znam ją tylko z treści. A w mieście co tam słyhać? odwrócił rozmowę, jakby umyślnie unikając polityki.

— Nasz podkomorzy Brański, — przysunął się Byszewski, który tylko co wszedł, znowu sztukę spłatał, wykradł słyse wczoraj owę Anusię podczaszyco wi Ordyńskiemu.

— Owę to sławną Anusię, o której przed niejakiem czasem tyle mówiono?

— Ale się nią długo nie cieszył, dokończył generał szybko, nie dając się z plotką uprzedzić — prawy jej właściciel wpadł, jak burza i zbezczęściwszy go, odebrał mu ją.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Niepoprawiony! kiedy się to ten fajerwerk wypali, przebaknął król nareszcie, zwracając zaraz rozmowę. — Kazałem — rzekł, żeby się tu dziś stawił podczaszycowi i natrę mu uszy za waszego synowca, mości księżu biskupie. — Cóż ten biedny podskarbi? spytał po chwili Byszewskiego, — nie słyhać o nim?

— Barabas — dodał ks. Łuski po cichu.

— Alboż go to już tak nazywają? — rzekł Stanisław August wzdychając.

— Zdaje się, że już o tem mówił W. K. Mości?

— Może, ale mi to z głowy wyszło. — Uciekł chwała Bogu, co wiele sejmowi trudności oszczędzi.

— Wątpię, przerwał biskup, bo gorąco go szukają. Pomimo wszystkiego co uczyniono, by nienawiść ku niemu ogólną osłabić, zawsze ona trwa, a nawet wzmacniać się zdaje. Na hetmana Ogińskiego wrzask okrutny, że go dał puścić, a tysiąc czerwonych

złoty nagrody i ogólna niechęć, pewno go prędko pod kłódkę zapędzą.

— Niech sobie ucieka — rzekł król żywo — jak najdalej! Ciężki to dla mnie cios widzieć go przed sądem, a w nim zbeszczescony urząd wysoki i dostojęstwo. Sąd ten wywołuje tyle już zapomnianego dzięki Bogu, i błotem rzuca na tyle ludzi blizkich mego serca.

— Już dziś — odezwał się ks. Łuski powoli — rozchodzi się wieść, że go powtórnie na lądzie schwycił oficer jakiś...

— Co? znowu! — krzyknął król.

— Poznano go przypadkiem na pocztce.

— To może być jeszcze bajka, czekajmy — rzekł biskup.

— Daj Boże, by to bajka była.

— Cała historia podskarbiego — dorzucił ks. Łuski — chodzi teraz po mieście i kraju, znają ją chłopcy uliczni, wiedzą na palcach wszyscy, a ktoś z przemyślniejszych nieprzyjaciół, sprowadził tu nawet do Warszawy Kozłowskiego, który chodzi po ulicach, pytając kogo spotka o swoją żonę.

— Cóż to za historia znowu? — spytał król — ja sobie jej nie przypominam... to już nie *ex publicis*, ale z życia prywatnego! Narobił bo podskarbi, może nie więcej od drugich, ale mu nic się nie upiekło darmo!

— Na nieszczęście, ta historia z Kozłowskim dosyć brzydka — podchwycił Arnold Byszewski — ale nicby to nie było, żeby jej do drugich nie przyszywanol bo to chodzi po ludziach! Kozłowski szlachcic ubogi, służył podobno u księcia podskarbiego, a miał co się zowie piękną żonę; widywałem ją potem u księcia, piękność znakomita!

— No i porwał mu ją, okupił, zapłacił, czy od-

mówił! — rzekł król trochę niecierpliwie — cóż to osobliwego!

— Trochę to nie tak było N. Panie — dodał generał. — Kozłowski na nieszczęście głupi, kochał się tak szalenie w swojej żonie, jak się drobnej szlachcie trafia tylko; gdy mu ją podskarbi odmówił, z żalu oszalał.

— Oszalał! ale czyż to być może! — spytał Stanisław August — może udaje chyba warjata!!

— Nie N. Panie, trudno to tak udawać! Samem go widział! Ktoby się to tak wygórowanych sentymentów spodziewał w prostym szlachciurze! Mojem zdaniem, nie winien książę podskarbi nic, bo mógł-że przewidzieć co wyniknie? Kozłowski przebywszy ciężką chorobę z której otyśiał zupełnie, zawarował całkowicie.

— Czemuż go już nie oddadzą do Bonifratrów? — spytał chmurno biskup.

— Łagodny to warjat, a pewnie nieuleczony, chodzi sobie po mieście, i na tem jego manja, że każdego zatrzymuje i pyta czy nie wie gdzie się Julka jego podziała. Uliczni drwią z niego, ale to widok przykry, jeszcze teraz rozżarza nienawiść ku podskarbiemu, i myślę, że go tam nie darmo puścili na ulicę, czyjaś to sprawka.

— A z Kozłowską co się też stało?

— Historia to nie dawna jeszcze, kobieta młodziuteńka podobno w trzecich rękach, nie myślała mu wcale dotrzymać wiary, przeciw fortunie. Teraz ją jakiś Włoch zagarnął.

Na tem stanęła rozmowa poczęta sejmem, skończona plotką pokątną, a generał posłyszawszy, że się król o podcaszyca upominać zaczął, wprowadził go do gabinetu.

Na pierwszy rzut oka, król wydał się podcaszy-

cowi jeszcze starszym, a choć wyraźnie były ślady piękności i chęć utrzymania się przy niej — czas, czy wypadki, głęboko się wyryły na jego twarzy. Usłyszawszy wchodzących, Stanisław August już ubrany odwrócił się ku drzwiom i oblicze jego przybrało wyraz niezwyklej, udanej surowości. Podczaszyc skłonił się raz pierwszy z daleka.

— Mości Ordyński — odezwał się król wyciągając ku niemu rękę — byłbym go surowo przyjął, ale mi boleść jego usta zamyka i serce łagodzi. I ja też cierpię nad stratą, tak pełnej wysokich przymiotów matki waćpana. Niech więc przebaczenie i zapomnienie pokryje co się stało z żywości młodzieńczej i krwi zburzonej.

Oto, Jegomość ksiądz biskup kujawski, uproszony przezemnie, przychylając się do żądania mego, winę waszmości darowuje, a ja z nim; ale niech to będzie nauką dla przyszłości.

Podczaszyc zbliżył się do biskupa, który w milczeniu posępnem oddał mu ukłon, potem ucałował rękę królewską i natychmiast się wysunął; toż uczynili ks. Łuski i generał Byszewski, pozostali tylko: król, generał Baucher i Ordyński.

Stanisław August powstał z krzesła i przybliżył się do podczaszycy marszcząc brwi nie bez wysiłku, gdyż surowym być nie umiał, gniewu nie znał, nie tak z dobroci, (choć jej miał wiele) jak raczej z obojętności niedopuszczając burzy do serca.

— Wymagam po waszmości — rzekł — byś mi sprawy nowej z podkomorzym nie rozmazywał, pogodz się was przyjaciele. Dość już tych pojedynków i krwi rozlanej za kobiety, szklanki wody nie wartel w takiej chwili wstyd się o to potykać.

Podczaszyc nie mógł nic odpowiedzieć, ale generał podchwycił.

— Stanie się wola W. Kr. Mości, my to zaraz połatamy, nie pojedą do Jeziornej.

— Szczęściem i tak dla Waćpana — dodał król — że sprawa o ranę Rybińskiego w nic poszła, bo pachła nie lada czem pod sądem marszałkowskim.

— Jam był srodze obrażony — rzekł podczaszyc — a odmówiono mi zadość uczynienia.

— Nie mówmy o tem — przerwał Stanisław August. Czas już wielki dla waćpana pójść śladem ojców, poprzestać życie tak trawić, potrzeba zacząć żyć dla kraju, pomyślę by go użyć.

Podczaszyc skłonił się całując rękę królewską, a w tem koniuszy Kicki wszedł dając znać, że karety królewskie stały gotowe do naznaczonej przejażdżki; za nim Ryx wprowadził za sobą kamerdynerów niosących kapelusz, laskę, szpadę, płaszcz... Paziowie w paradnych strojach na koniach, pułkownik Königsfeld, ich naczelnik... kilku ułanów, stali już w dziedzińcu oczekując, by towarzyszyć królowi. Ordyński z generałem ustąpił, a orszak świetny posunął się zaraz ku Krakowskiej bramie i w niej znikł im z oczów.

VII.

Dzięki zabiegom przyjaciół, którymi zdawała się niewidzialna jakaś kierować ręka, Ordyński w chwili odzyskał straconą na świecie, co o nim był tak rychło zapomniat, wziętość i przychylność. — Cały więc, zwrócił się znowu ku niemu, odganiając wspomnienie Anusi, do której czuł żal jakiś, usiłując sobie wmówić, że mu się okazała niewdzięczna.

Z pocziwych myśli zasianych ręką O. Spirydjona i wschodząc już poczynających, wkrótce nic nie pozostało, zagłuszyły je inne, stare chwasty dobywające się z pod nich, nie wytrzebione jeszcze, ścięte tyl-

ko. Otaczający też znowu podczaszyca, przyczynili się przykładem swoim do utrzymania go na tej drodze, a codziennie wszechwładniej kierujący umysłem jego cavaliere, rzucał nim, jak piłką, pilnując by zawsze popychać w stronę własnych jego namiętności.

Kilka łąz ledwie wylawszy po matce, ale grubą po niej wdziawszy w początku żalobę, podczaszyca znów się zdał w ręce Frejera, któremu dom swój i życie powierzył, a kierunek interesów ogólny przyjął plenipotent, jakich na ów czas nie brakło.

Za tego to panowania, najwięcej podobno fortun szlacheckich, co zaraz w pańskie nawet się przeistaczały, urosło z tego łupieztwa prawników i dziwnej nieopatrzności panów. Nigdy może dziecinniej, obojętniej nie dawali się drzeć magnaci, a bezwstydniej nie łupili ich pełnomocnicy. Zdawało się, że jakaś mściwa ręka ciężyla już nad plemieniem dawniej wybranem, zakrywając mu oczy, wiodąc do zguby za karę grzechów starych, zguby wszelkiego rodzaju, dusznej i cielesnej. Na ruinach pańskich majątności rozsypujących się w proch, wyrastali co chwila nowi pankowie, których już krzyczących widział w krzesłach sejm czteroletni i ubierających się w patryjotyzm, źle pokrywający bezwstyd jeszcze nie starty z ich czoła.

Przykład ruiny jednych, żywy, uderzający, jak gdyby drugich nic nie obchodził, nie sprawiał opamiętania, i po zrujnowanych na pół lub ze wszystkim, drudzy tak samo zupełnie niszczyć się odzierać dawali, własnym grzechom i ludziom bez sumienia. Nie brakło też chciwych a przewrotnych, co korzystać umieli z tego jakiegoś rozstroju niepojętego i rozpaczliwego zapomnienia przyszłości. Dostarczały ich palestry popsute przekupstwem i intrygami tych samych panów, których Bóg karał tem, czem zgrzeszyli.

Narzędzie przestępstw, stawało się narzędziem kary. Nauczyci się prawnicy po trybunałach od panów, jak najgorszą sprawę wygrać, a swoją wymalować zawsze na dobrą; użyli teraz gdy chwila przyszła, nauki swej na dawnych pryncypałów.

Podczaszyca zawezwał do porady tylko w początku, przedstawionego mu przez jenerała Bauchera niejakiego Liebiedzińskiego, dawniej podstarościego piotrowskiego, a ten tak umiał nim ovladnąć i podobać mu się z układności swojej, że wkrótce jego interesa powierzone mu zostały z najobszerniejszem do ułożenia ich pełnomocnictwem.

Pan ekspodstarości, człekiem był nie lada i do wszystkiego, a losy jego przypominały cokolwiek historję samego jenerała, który go teraz protegował.

Był on w początku i w seminarjum, gdzie kazania nawet mawiał, i sukces ich podobno naprowadził go na myśl, że z głową i wymową inaczej szczęścia szukać może. Zawczasu się więc wywłókl, potem jakby na próbę zaciągnął się był do wojska, doszedłszy do tego, że namiestnikowstwo sprawował w jakiejś chorągwi; tu gdy kłopotu napytał z rejestrami przy wypłacie lenungów, a skargi nań poszły aż do hetmana, musiał się podać o abszyt i dopiero przy trybunale zostawszy palestrantem, trafiwszy nareszcie na właściwą sobie drogę, wy kierował się szybko na mecenasa. Głowa była nie lada, układ wyborny, człowiek z wierzchu choć go do rany przyłożyć, coś z niego chciał, to miałeś. Otartszy się po świecie, poznawszy ludzi, praktycznie jakoś nauczył się Liebiedzińskiego życia, i wziął za prawo sobie, naprzód chwycić za serca, by potem bezpieczniej dobrać się do kieszeni. Nie było nadeń łatwiejszego w towarzystwie, ani weselszego człowieka, ani co by się lepiej umiał zastosować do humoru otaczających. Toż w sprawie

tak tok jej i powodzenie zastosowywał do humoru swego klienta, że choć ją i przegrał, estymy u niego nie tracił. Liebieński nie był to już starej szkoły trybunalskiej prawnik, wierzący w literę prawa, grzebiący się w sejmowych ustawach, by mieć co postawić przeciw argumentom przeciwnika; wierzył w grosz, w zepsucie, w środki pokątne, a o prawo dbał mało, wywracając je, jak mu się podobało.

U dawnych naczelników trybunalskiej palestry choć było złe, ubierało się w jakiś pozór legalny, tem przebraniem dowodząc poszanowania prawa; u niego bez subiekcji, co do głowy przyszło stawało bezwstydnie, nie zważając, jak się komu wyda. Zręczny pisarz, wielki orator, erudyta, w słowa bogaty nade wszystko, obrachowujący, żeby raczej obalamucić, niż przekonać słuchaczy, Liebieński żartował z ludzi, któremi rzucał obojętnie. Znał on już ze słuchu stan interesów podczaszyca i postanowił korzystać z niewiadomości i obojętności młodego człowieka na jego zgubę, a wzniesienie się własne. Obiecał z razu złote góry, a że śmierć podczaszynej dawała wcale nowy interesom obrót, że spadek po niej we Florencji na chwilę kredyt podsycił, że można było ściśle biorąc wybrnąć ze złej toni i okazać sposoby ku temu, sprawnik zawrócił łatwo głowę Ordyńskiemu, a całkowite zdanie się na niego dogadzające próżniactwu, poszło, jak po maśle.

Tak tedy usłużny i pokorny, wesoły i dobry kompanista Liebieński, w kilka dni po wprowadzeniu go przez jenerała, dostał najnieograniczoną plenipotencję i zakreśliwszy się tylko, wyjechał zaraz do Głuszy dla zajęcia się uspokojeniem wierzyteli, układem z zastawnikami i t. p.

Podczaszyca urządziwszy dom, pozostał w Warszawie, a że nowy lokal, który mu cavaliere wyswa-

tał bardzo zdawał się wygodny, tu się rozgościwszy, dawne począł sobie życie. — Dom zajmowany przez niego, choć nieco od środka miasta oddalony, należał do piękniejszych budowli nowych; lecz pod bokiem mieszkał de Cerulli, który się był wyniósł z Senator-skiej ulicy, co także swoją miało cenę. W dodatku, w parę dni po zamieszkaniu, cavaliere poprowadził podczaszyca do okna, pokazał mu tuż na przeciw obok Cerullego, bardzo piękną twarzyczkę... Ordyński się zapalił, Fotofero śmiać począł i nic nie chcąc powiedzieć kto by to był, uciekł zostawiając go pod wrażeniem wywołanem umyślnie.

Wysłani na zwiady natychmiast, bo podczaszyca gorąco brał rzeczy, donieśli mu, że to była ulubienica de Cerullego, Warszawianka wszakże, znana pod imieniem pięknej Julji. Łatwo się w niej było po tem podczaszycowi domyśleć Kozłowskiej owej, kochanki eks-podskarbiego, a choć marzył o większej, niż podobna zdobyczy, nie mógł się pomimo wstrętu wywołanego historją awanturnicy, oprzeć uczuciu, które go ku niej ciągnęło.

Przyszło to tak jakoś nagle, zaskoczyło go tak gwałtownie, że się nie opatrzył, jak zabrnął daleko, jeszcze do niej i słowa nie przemówiwszy.

Sprawa o porwanie Anusi i zajęcie z podkomorzym, zaraz nazajutrz staraniem wspólnych przyjaciół ułatwioną być miała; ale podkomorzy, który widzieć, że za wolą królewską musiał ukończyć spokojnie, drożył się przecie z początku i śmiało stawał. Pośrodku więc latali, chodzili, szeptali, i robić się jeszcze zdawali co już było dokończzone, a jenerał jadł z obu stron i pił z obiema, co mu wybornie dogadzało.

Podczaszyca ruszył tymczasem w świat, głodny będąc wszystkiego: kart, kobiet, śmiechu i zabawy.

Sama wdzięczność wymagała widzenia się z de Cerullim, który oswobodzonego otwartemi powitał rękami, ale tonem daleko więcej protekcyjnym, niż dawniej. Zdziwił się podczaszyc widząc w nim taką zmianę, zdobyte nowe stanowisko na świecie, i wpływy jakie ten człowiek wywierał na wszystkich, ale mu je wytłumaczył charakter posłannika Wschodu. Pokoje się u niego nie wypróżniały nigdy, gra ciągle wrzała, lało wino, rzucano pieniądze garściami, rujnowali się gracze, a wśród tego szumu, dostrzec było łatwo pilnemu oku jakichś zmów potajemnych, narad pokątnych, których gra i zabawa były pokrywką tylko. W salonach Włocha spotykały się osoby najwyższej stojące, których gospodarz, jak równych traktował poufale, niekiedy dawał im rady i znajdował zawsze posłusznymi swemu sterowi. Widać było że Cerulli piastował jakąś tajemną władzę i miał znaczenie wielkie w gronie, które go otaczało.

Tuż obok jego mieszkania, ale nigdy nie pokazując się na pokojach pełnych gości, zajmowała obszerny lokal piękna Julja. Okna jego wprost były zwrócone ku oknom domu Ordyńskiego; przez nie to pierwsza zawiązała się znajomość, i z daleka ją widząc, tak się był już podczaszyc zapalił, że przysięgł jenerałowi, jako nic w życiu nie spotkał nad nią cudowniejszego.

Jenerał, który w chwili wyznania spokojnie popijał, spojrzał na podczaszyca z pod brwi, potracił głową i rzekł z flegmą:

— Zły masz gust.

— Jak to? dosyć mieć oczy jenerale, żeby mi się nie dziwił!

— Ale ba! przy oczach i uszy nie zawadzą.

— Cóż uszy w tej sprawie mają za udział?

— Bardzo wielki... Naprzód tego djabła Włocha,

który w niej słyszę zakochany po uszy, a zelant szkaradny, nie dobrze zaczepiać; powtóre odgrzewana to potrawa, którą się nie jeden przejadł do syta.

— Ale ty jej nie znasz jenerale.

— Jaktó nie? — objętnie rzekł Baucher — kto z nas nie zna i nie widział Julji. Znałem ją u podskarbiego, u księcia Nestora, u podkomorzego, a teraz u Cerullego.

— Możeż to być? wygląda na lat nie pełną dwadzieścia!

— Młodemu wszystko młode — westchnął jenerał — ale posłuchaj mojej rady, porzuć to, Włoch niebezpieczny, a kobieta istny szatan.

— A! naczek tak śliczne ma oczy! — zawołał podczaszyc z długim westchnieniem.

— Te śliczne oczy to waścine, nie jej! — odparł stary. — Było to i ze mną niegdyś — teraz mi się wszystkie jednakowo wydają, bo na mnie patrzą. Oj! młodość! młodość!

— Mówiliśmy o Cerullim — rzekł podczaszyc zwracając rozmowę — wytłómaczcie mi jeśli łaska, jak się tego znaczenia, które teraz ma, dochrapa?

Baucher ruszył ramionami.

— Dla mnie to człowiek niepojęty — rzekł — je mało, pije nie wiele, człowieka na wylot prześwidruje, byle na niego spojrzeł, zimny jak lód, zazdrosny jak Turek, a w gruncie usłużne stworzenie.

— Ale to znaczenie? — spytał Ordyński.

— Ba! to rzecz najmniej zadziwiająca! trzęsie teraz całą massonerją naszą, bo ma tu posłannictwo i władzę wielką od mistrza...

— Nie ma się co dziwować, że z tym charakterem inaczej teraz został przyjęty i uważany. Musimy go słuchać radzi nie radzi!

Rozmowę przerwali nadchodzący goście, a pod-

czaszyć głęboko rozmyślać począł, nie wiem nad znaczeniem Cerullego, czy nad czarnymi oczyma pięknej Julji...

VIII.

Biedna Anusia, zdawała się skazana na ciężką walkę bezsilnego pragnienia z losem, z biegiem wypadków niepowstrzymanym, przeciw którym otwarcie nawet stanąć nie mogła. Całym orężem jej była modlitwa. Ale czemże modlitwa, co niebo porusza, kiedy do Boga dochodzi gorącemi oblana łzami, często dla nas samych Bóg jej wysłuchać nie może. Nasze łyż dziecinne i nierozumne pragnienia mogą tam być porachowane w dalekiej przyszłości, lecz w chwili, gdy je posyłamy, rzadko sprowadzą, czego pragniemy gorąco, bo pragnienia nasze dla nas lub drugich trucizną. Więc próżno szły w niebo modlitwy, a serce cierpiało.

Porwanie niespodziane, przestrach, uratowanie, i ta chwila, którą przeżyła z głową spartą na ramieniu podczaszyca, wstrząsły całą jej istotą; nieznane światy marzeń, otwarły się przed nią, a z niemi powracała w ten kątek ciemny, smutny, odosobniony, w którym żyć musiała sama z myślami tylko swojemi. Owe sny dawne, posłannictwo, które spełnić miała w Warszawie, ciągle snuły się przed tęskniami oczyma, ale jak mogła je spełnić? Biedziła się, nie pojmując, że może sama o tem nie wiedząc, będzie narzędziem ratunku. Wiedziała, że podczaszyca brnął znowu z przyjaciół w życiu, jakie był przed śmiercią matki rozpoczął, z większą jeszcze swobodą, z większem poniżeniem, bo pod pozorem, że między równymi sobie serca nie znalazł, zaprzeczał istnieniu serca i szukał tylko roztargnień, płacąc za zabawę.

Jak go stąd było wyrwać i ocalić, gdy zbliżyć się nawet wstyd było ku niemu, po za wał brudów, który go otaczał.

Łzy jednak często płodniejsze są, niż sądzimy: one, jak rosa niebieska padają niepostrzeżone, podziewają się, gdzieś nieobrachowane, a zwilżają i żywią przestrzenie dalekie.

W kilka dni po uwolnieniu podczaszyca, O. Spirydjon niespokojny także o Ordyńskiego, bo go jak duszę, dla której była nadzieja ratunku, polubił i przywiązał się do niego, przyszedł dowiadywać się u Sienińskich, co się z nim działo. Zastał Anusię tak rozpaczającą prawie, że się aż zdumiał i zafrasował.

— Moje dziecię — rzekł — rozpacz do niczego nie doprowadza, i owszem, spacza człowieka tylko, czyniąc go do wszelkiego czynu niezdolnym. Można co robić, róbmy, a nie, to się módlmy, by Bóg w łasce swej za nas czynił. Ufajmy mu, jak Ojcu, drogi opatrności niezbadanej! Miałem czas poznać Ordyńskiego lepiej; szlachetna to dusza, poczciwy chłopiec, ale zgangrenowało go lada jakie wychowanie. Któż to wie? czasem najnieporządniejsza młodość bywa przedśionkiem porządnego życia.

— Ale mój ojciec — odpowiedziała Anna — kto go tam sprostować może, kto do niego dostąpi ze słowem prawdy? nie ma już księdza Beaudouin'a, co się nie wahał wcisnąć w tłum graczy, choć z niego wynióś policzek!

— Święty to był czyn — odpowiedział kapucyn — i każdy poczciwy kapłan naśladować by go potrafił, choć doprawdy szlachcicowi polskiemu najwięcej by ten akt pokory kosztował, bo za skórą księżą, jest taka stara skóra szlachecka!... Ale z drugiej strony strach podawać na niepotrzebne pośmiewisko su-

knież kapłana, a ja mam taką nadzieję, mam przecucie, że go nam Bóg powróci...

— To chyba cudem i twoją modlitwą, mój ojcze — odpowiedziała Anna, całując jego w rękę.

— Wszystko Bogu łatwe, choć nam to się wydaje cudem. Złe czasem, doszedłszy pewnej granicy ostatecznej, samo się zabija i niszczy... bądźmy cierpliwi.

Na te słowa wszedł pan Kasper, od niejakiego czasu zmieniony wielce, z głową spuszczoną, twarzą zwiedłą, oczyma wpadłymi — kapucyn, spojrzawszy nań, powtórę się zakłopotał.

— A co ci to, panie Kasprze — spytał — wyglądasz mi, jak z krzyża zdjęty?

— Nic, ot tak nie mam się dobrze, po kościach chodzi, czy choróbsko, czy starość.

— Trzeba by w złem zdrowiu lepiej o sobie pamiętać — rzekł kapucyn — waćpan nadto już skąpisz na wszystko.

Panu Kasprowi aż oczy błysły, gdy tę wymówkę usłyszał.

— Skąpie! skąpie! — rzekł prawie gniewny — no, bo nie mam!

— Ale jeśli ci, stryju, potrzeba czego — przerwała Anna — mów, my byśmy się postarali.

— A co ma mi być potrzeba? nic — ot, jak przyszło, tak i przejdzie.

Kapucyn chwilę tylko zabawiwszy, spiesząc do swoich owieczek, ruszył zaraz w dalszą drogę, rozsypawszy krzyże błogosławieństwa na dworek Sieńskich, a po odejściu jego pan Kasper, zamyślony, pozostał na krześle w pokoju Anusi.

Od porwania synowicy widocznie gryzły go więcej, niż potrzeba omylone nadzieje, które młodość

umie przeboleć łatwo, a wiek późniejszy nie zawsze przeżyć potrafi. Nie dziw, ostatnie to życia kwiaty. Od chwili, jak się przekonał, że cała historia owej bogatej wdówki, była niepocziwem podejściem, Kasper tak sobie wyrzucał postępowanie swe, łatwo-wierność i tak cierpiał, że się dał oszukać, że aż wymizerniał i do reszty spadł z ciała.

W kilka dni potem, coraz czując się gorzej, położył się przed zwykłą godziną — nazajutrz chciał pójść na mszę i od bramy powrócić, wreszcie całkiem obległ bezsilny. W domu, z powodu tej słabości, niepokój stał się wielki, posłano do kapucynów po O. Spirydjona i po doktora w drugą stronę. Nadbiegł o kiju kapucyn, nadjechał stary Niemiec okularowy, i oba uznali, że źle było koło pana Kaspra.

Stary milczał, oczy trzymał wlepione w jedno miejsce, a rękoma wciąż koło siebie niespokojny skubał. Powolnie wywiązywać się poczęła jakaś złośliwa gorączka, która pomimo wszystkich środków lekarskich, jakich zaraz użyto, niczem się przerwać nie dała. Życie więcej, niż oszczędne, bo niemal niedo-stateczne do utrzymania sił wiekiem nadwątlonych, przyczyniło się też wielce do postępów choroby, na którą złożyły się starość, zmartwienie i wycieńczenie.

Ledwie trochę mu przytomności przyszło, by się wypowiadać przed O. Spirydjonem, potem, gdy wpadł w malinę, już z niej wyjść nie mógł. Brat i synowica siedzieli nieprzerwanie u łóżka jego, ale miasto, żeby go to pocieszać miało, drażnić się zdawało jeszcze. Szarpał się na ich widok, jakby napastników czyhających na jego mienie widział, zaklinał ciągle, że nic nie ma, przysięgał, że ubogi i miotał w strachu o jakąś szkatułkę, którą ciągle wspominał.

Był to jedyny przedmiot, o którym w czasie choroby mówił, a im silniej wzmagala się gorączka, tem i strach o skarby się powiększał. Na przesileniu wreszcie, nie mając dość siły, by je przetrwać, stary poczał się mieć znacznie gorzej, a doktor odszedł, nie wprowadzając nie powiedziawszy, ale z bardzo znaczącym kiwaniem głową.

W nocy zdrzemnęła się na chwilę Anna, usnął brat, a gdy się przebudzili nad rankiem, z przestraszeniem nie ujrzeni już starego w łóżku. Biedny obwinęty kołdrą, nie wiedząc z jakiego powodu, pobiegł w nocy do komina, usiadł, skurczywszy się w popiele i tak mizernie życie swe zakończył.

Wypadek ten nowe kłopoty, zajęcie i smutek sprowadził na dworek Sienińskich — potrzeba było myśleć o pogrzebie, zająć się sprawami brata, a Jan też ciężki dość, ledwie rady mógł dać sobie. Anna szczerze płakała po stryju, który był dla niej nie raz towarzystwem pożądanym i zabawiał ją gawędką wesołą, lub modlił się z nią razem.

Spadek po nim, chociaż ci, co go dawno znali, jednogłośnie się zgadzali, że musiał mieć znaczne pieniądze, bo miał zrzeczność je nabyć, a skąpił niestychanie, nie przyniósł nic, oprócz dworku. Przeszukano po wszystkich kątach tych mniemanych skarbów, ale nigdzie ani grosza nie znaleziono. Kuferek zawierał trochę gratów, nic nie wartych, po kątach izby wałowało się mnóstwo butów, wszystko starych, gdyż innych pan Kasper nie kupował i nie nosił, nad głowami łóżka wisiał zegarek z jednym indeksem a dwoma kopertami — i nic więcej.

Gdy starca wyniesiono drugiego dnia na Powązki, tak smutną pustką z wonią kadzideł i świec woskowych stał się im dworek, że Anna rada była uciec

z niego, ale nie było dokąd, musiała zostać i cierpieć. Ona i ojciec przez cały wieczór przesiedzieli, modląc się w milczeniu, przygniecenii smutkiem.

Jan przecież, prędko ochłonałszy ze smutku tego, wypocząwszy, rozmówiwszy się z ludźmi o nieboszczyku, znalazł sobie zatrudnienie, gdyż mu nabitą głowę, że gdzieś koniecznie muszą być schowane pieniądze.

Nic smaczniejszego, nad grosz, co tak darmo bez potu przychodzi, to też Jan poczał gorliwie poszukiwać go wszędzie, ale napróżno przetrzesiono górę, piwnice, skrytki, schowanki, szukano, stukając w ściany, czy gdzie nie było co zasklepionego, nigdzie nie znaleziono ni śladu.

Nie zraził się niepowodzeniem Sieniński, czas dzieląc między drzemkę i odpoczywanie. A że roił o spadku na jawie i śnił o nim nocami, często wstawał, mówiąc do Anusi:

— Śniło mi się, że nieboszczyk tam a tam skarb swój schował.

Anna ruszała ramionami, inny skarb mając w sercu! Ale gdy tak po tygodniowych poszukiwaniach daremnych, marzył raz głośno stary, odpowiedziała wreszcie z roztargnieniem:

— Darmo to szukać podobno, kiedy nic niema, gdyby co było, to chyba w kominie, w którym pan Kasper umarł, bo nie na próżno tam z łóżka poszedł.

Powiedziała te słowa nawiasem, nie spodziewając okropnych skutków, jakie miały sprowadzić.

Jan, aż się pochwycił na tę myśl, uderzającą go prawdopodobieństwem, i w tejsze chwili, zabrawszy świecę, pobiegł do izdebki pana Kaspra. Komin był zamurowany od dawna, nie wiedząc dla czego, może aby chłodu nie prowadził do izby, której ciepła przez

skapstwo lokatora udzielać nie mógł; leżały w nim resztki zbite odwiecznego popiołu i śmieci. Rzucił się na to pan Jan chciwie i nic w nich nie znalazł; uderzyła go jednak wielka szara płyta kamienna przed ogniskiem leżąca, której róg jeden zdawał się trochę wyszczerbiony, jakby ją niedawno czem żelaznem podważono. W kącie stał właśnie gruby żelazny kruczek, który dziwnie się założył pod kamień, jakby tam już nie jeden raz bywał. Sienińskiemu, aż serce podskoczyło, dobył wszystkich sił, dźwignął i kamień się poruszył.. krew oblała mu twarz z radości, choć z wytężenia uczuł razem, jakby coś w nim pęknęło; syknął tylko i nie zważał na to.

Anna, stojąc we drzwiach, patrzyła obojętnie.

— Ojcie, ojcie, nie morduj się, zmiłuj się, to kamień ciężki, tyś nie silny i chory...

Ale nie było sposobu go odciągnąć, a wezwać do pomocy nie chciał nikogo, żeby się nie wydało, co znalazł. Założył kruczek raz i drugi, oba razy poruszył płytę, ale podjąć jej nie mógł — usiadł na podłodze, niecierpliwie pódchwycił oburącz kamień, a tak mu dłonie drżały! kogoż bo pieniądze nie oszalały, komu do nich nie zabije serce, choć zgrzybiałemu i na progu trumny.

Anna, widząc, że ojciec ostatka sił dobywa, na próżno go błagała w początku, by to do jutra odłożył, przyszła wreszcie pomoc mu sama, i tak jakoś we dwoje odwalili płytę, pod którą... znaleźli tylko dużo śmiecia i pyłu...

Stary poczał go odgrzebywać, a gdy nareszcie ręka jego oparła się o antabę szkatułki dębowej, krzyknął tak dziwnie, że aż się córka przełękła.

— Są! są! pieniądze są! znaleźliśmy i dobrześ przeczuła; zawołał prawie nieprzytomny.

Ale tu trudniej jeszcze było, niż z kamieniem, bo szkatułka, wbita mocno i dawno zapewne niewyciągana, siedziała uparcie w swej kryjówce.

— Do jutra, ojcie kochany, prosiła Anna niemal zapłakana, całując ręce starego, do jutra!

Pan Jan nie dał sobie mówić, i zębami, rękoma, krukiem, sznurkami pouwiązywanemi rwał do siebie tajemniczą szkatułkę, która się wreszcie ruszyła, przewróciła bokiem i z wielkim mozołem dała wyciągnąć na brzeg. Zaledwie tego dokonawszy, Sieniński tak się uczuł podźwignięty i schwycony boleścią nagłą, że nie mając czasu zajrzeć nawet, co tam było w dobytej kryjówce, dowlóknął się ledwie i legł na łóżku pana Kaspra.

Wszystko to razem, jak sen jakiś poczwarny a przerażający, przejęło Annę strachem niewysłowionym. Zaledwie Jan położył się na łóżko brata, którego skarb zaklęty poruszył, ognista myśl śmierci jego, sieroctwa przeleciała serce Anny.

Wybiegła do Hołodrygi, chcąc go posłać po doktora, do którego już razy kilka chodził, ale żebrak w pół pijany kłął, gniewał się, łajał, gdy go rozbudziła i wyprawić się nie dawał. Chciała iść sama, ale niepodobna było ojca tak zostawić, służąca też rady sobie by dać nie mogła, po nocy wysłana.

Cały więc czas do rana upłynął w niepokoju niewysłowionym i męczarniach chorego. Szkatuła, pierwsza przyczyna choroby, której odkrycie z łzami krwawemi wyrzucała sobie Anna, leżała na podłodze. Jan z oka jej nie spuszczał, ale tak cierpiał, poderwawszy się w najniebezpieczniejszy sposób, że już nawet wstać dla obejrzenia nabytku nie mógł. Prosił jeszcze, mimo cierpienia, Anny, by mu ją przysunęła, otwarła, ale biedne dziewczę dokazać

tego nie mogło, a sługi i Hołodrygi obawiał się Sieniński.

Noc wiekiem się wydała, i gdy pierwsze dzwonki po klasztorach zabrzęczały, przykrywszy wedle rozkazu ojca szkatułę i komin gratami, Anna pobiegła znów budzić i wysyłać Hołodrygę po doktora. Choć jeszcze kłął żebrak, ale wytrzeźwiony posłuchał przecie i poszedł. Nim się dowlókl, dosztukał, wytłómaczył (co mu nie było łatwo, bo go tylko znajomi, przywyklszy do jego mowy zrozumieć mogli)—choroba pana Jana, zwykle w takich razach gwałtownie się rozwijająca, już co raz groźniej objawiać się poczyniała. Chory nadedniem począł mieć silną gorączkę, a co najgorzej trwożył już o sobie. Jakaś idea przesadna, przekleństwa braterskiego za naruszenie jego skarbu, owładła jego umysłem i obawa śmierci ogarnęła jego serce. Doktor, który nadbiegł, przedsięwziął, co tylko było można, ale, odchodząc, spojrzął z politowaniem na Annę, która w rozpacz i przerażeniu traciła całkiem przytomność. Nie było jej komu pocieszyć, pomóc, ratować i radzić, położenie stawało się każdą godziną rozpaczliwsze. Jak Anioł opiekuńczy, zjawił się przed końcem dnia O. Spirydjon, który tylko co powrócił z Jeziornej, gdzie niedobitego w pojedynku wojewodzica T... dysponował. Dowiedział się on o chorobie drugiego brata Sienińskiego, i nie zważając na spóźnioną porę i znużenie, przybiegł zaraz do dworku.

Zastał Annę we łzach, leżącą krzyżem przed obrazem Zbawiciela, doktora przy starcu bez nadziei już chorym, zamęt i znowu jakieś przeczucie śmierci, która tak szybko raz po raz nawiedzała ubogą strzechę. Zaledwie go ujrzało dziewczę, rzuciło mu się do nóg, płacząc.

— Ojczel! ojczel! ratuj nas! Ojciec mój umiera!

— Cóż to jest? skąd to? co się stało? czy przypadek jaki? — spytał kapucyn — wszak go niedawno zupełnie zdrowym widziałem.

Anna opowiedziała wszystko i zaszła się znów z płaczu, przypisując sobie przyczynę wypadku, chociaż istotnie chciwość starca była powodem jego śmierci. Nie chciał oczom swym wierzyć O. Spirydjon, żeby słabość mogła się rozwinąć i stać groźną w tak krótkim czasie, poszedł do lekarza, ale ten otwarcie mu wyznał, że gorączka już się poczęła rozwijać, a chory żyć nie może.

Trzeba było widzieć oblicze O. Spirydjona, gdy człowiek walczył w nim z kapłanem, obawa ziemsk a i żal, z poddaniem się woli Opatrzności. Dwie łzy srebrzyste potoczyły się po zwiędłych zmarszczonych policzkach, załamał ręce, milczał, znać było, że się łamał z sobą, a przeżegnawszy potem szybko, wskazał lekarzowi ręką pokój bliski, sam do obowiązku kapłana wracając, póki czas było jeszcze.

Jęk biednej sieroty sam jeden przerywał tę uroczystą chwilę, w której dusza chrześcijanina, powołana na sąd niespodzianie, przygotowywała się do niego sakramentem najwyższej pokory... Długo mówili z sobą, chory chwilami odzyskiwał przytomność, to znów stękał i bolał okropnie; w ostatku, gdy sprawy duszy załatwił, oddał w opiekę O. Spirydjona Annę i wszystko, co miała. Słusznie obawiając się o zebrany mająteczek sierocy, i swoje mienie i to, co po panu Kasprze tak nieszczęśliwie zdobył, zdał wszystko na ręce zakonnika dla deponowania w klasztorze. Chciał jeszcze obmyśleć dla Anny opiekę jaką i wymówił z trudnością imię Ordyńskiego, gdy bole go porwały i dokończyć mu już nie dozwoliły.

Trudno odmalować to, czego doznała Anna w tak krótkim przeciągu czasu, dotknięta wszystkimi ciosami boleści, jakie tylko może przenieść życie — tracąc opiekunkę, stryję, ojca, wiarę i szacunek dla tego, którego kochała i, zostając sierotą, tak osamotnioną na ziemi, jak żaden ptaszek, co tylko Boga ma nad sobą, samotniejszym nie jest.

Męczył się jeszcze stary Sieniński dni parę, bez żadnej życia nadziei, walcząc tylko z boleścią... narreszcie śmierć zamknęła mu powieki, a boleśny krzyk Anny rozległ się po pustym dworku razem z ostatniem tchnieniem konającego.

IX.

Dzięki nieodstępnemu przyjacielowi i panu de Cerulli, z którym dla gry i dla zbliżenia się do pięknej Julji co dzień był lepiej podczaszyc, życie jego pędem szło w kierunku zguby, wiodąc go na niechybne przepaści. Ale wśród ówczesnego świata i prawie powszechnej rozpusty, upadku fortun, zwałania się imion, widok ten nawet oczów nie zwracał, nie dziwił, nie wzbudzał litości.

— Szumi młodość! — mówili jedni.

— Straci, ożeni się bogato, potem i ustatkuje — dodawali drudzy.

— Tyle jego, co pohula! — mówili starsi niedowiarkowie.

Życie to stratne, nieopatrzone, pańskie, jak gdyby jutro świat miał się skończyć wyglądające, pochłaniało niezmiernie sumy. Znowu więc podczaszyc pożyczzał bez rachunku, wydawał bez rozważań, przy nim wciąż ów szatan kusiciel, szeptał mu rady namiętności jego podżegające. On to w oczach jego po-

dejzeniem szkaradnem śmiał zbrukać Annę, do której skłaniało się serce Ordyńskiego, on pierwszy wskazał mu z kału i bezwstydu wyciągnioną Julję, on go wyzwał do gry i płał siecią towarzystwa, które pomimo imion świetnych, składało się z najzepsutszego steku XVIII wieku.

Wkrótce pojednano podczaszyca z podkomorzym Brańskim, a ten w pierwszej rozmowie dla dogodzenia swej próżności, choć nic nie śmiał powiedzieć na Annę, jednym ją znaczącym spotwarzył uśmiechem.

Podczaszyc zapragnął ból, jakiego doznał, krwią rozlaną ugasić, ale nie mógł żądać tłumaczenia z uśmiechu, i musiał cierpienie skryć w sercu, w którym już trupami leżały, nie jedna dawna boleść i nie jedno wspomnienie.

Miłość dla pięknej Julji ogarniała go teraz całe go, a do wzrostu tej namiętności może i położenie kobiety, strzeżonej ściśle, przykładano się. De Cerulli zazdrośny czy nie, jako Włoch, uchodził za szatana zazdrości, a sam cavaliere, dopomagając do miłostek, nieustannie ostrzegał podczaszyca, żeby się na zemstę jego współziomka nie narażał...

W ten sposób podżegano go jeszcze i drażniono. Julja pokazywała mu się w oknie tylko, ale oczy jej miłośno spoglądały na podczaszyca, paluszki wkrótce poczęły słać pocałunki, usta zdawały się mówić — że radaby zbliżyć się do niego. Włoch, jakby nic o tem nie wiedząc, przyjmował w domu rywala, po przyjacielsku, zawdzięczając mu, co z jego przyczyny wycierpiał, obsypując grzecznościami, pożyczając pieniędzy i t. p.

Podczaszyc kilka razy próbował potajemnie dostać się do mieszkania Julji, choć na chwilę z nią wi-

dzieć, zawiązać stosunki jakieś, ale na każdym kroku znalazł nieprzełamaną zaporę — drzwi ludzie, żelaza i oczy ją strzegły.

— Słuchaj — rzekł zniecierpliwiony tem do Fotofera, przybyłego w odwiedzinę jednego poranku, — jak to może być, żebyś ja się dał temu Włochowi pokonać i odszedł z niczem.

— Wszakem przestrzegał, że czujny i zazdrośny.

— Alboż i takich nie oszukują?

— Wprawdzie trafia się to, ale z mężami, nie z kochankami — śmiejąc się, rzekł cavaliere — małżeństwo to ma do siebie, że blachmalem oczy zasłania.

Podczaszyc kwaśno, ale przez grzeczność uśmiechnął się z tego żarciku.

— Cóż począć? — spytał.

— A cóż! wyrzec się pięknej Julji! — odparł przyjaciel obojętnie.

— Wiesz, że to być nie może, ja ją kocham!

— Podczaszycu, uważaj, co mówisz!

— Powiadam, że ją kocham! czyż na Cerullego nie ma już żadnego sposobu? Znasz go, jesteście do brze z sobą?

Cavaliere namyślił się, zmarszczył, zadumał.

— Ha! ha! — rzekł — byłby może sposób, ale to trudno, bardzo trudno!

— Jaki! mów, użyj jakiegokolwiek!

— Przyznam ci się — szepnął po cichu cavaliere — że de Cerulli ma tylko jedną słabość, przez którą do niego trafić można. Widzisz na jakiej stopie dom trzyma, co go kosztuje życie, a jednak to człowiek niezmiernie chciwy! kto wie?... może by się po-

łakomił na pieniądze, bo poczyną stękać, że go Julja drogo kosztuje.

— Na pieniądze! w to mi graj! — klasnął w ręce podczaszyc — to najlepiej, zapłacę mu co zechce, niech mi ją odstąpi. Myślisz, że ją sprzeda?

— Nie wiem, spróbuję, pogadam, namówię, nie wspominając od kogo wychodzi propozycja.

— Quid tentare nocebit — dodał Włoch, zacieraając ręce, (bo niekiedy łacinę cytując, udawał, że był uczniem akademii padewskiej i teologował po trosze).

Podczaszyc uściśnął tak nieocenionego przyjaciela, powierzył mu całkowicie losy swoje i wyprawivszy go z pełnomocnem poselstwem, sam pozostał w domu, niecierpliwie czekając, co mu przyniesie. Cały jednak dzień dał niepokojom wzbierać cavaliere, i nie pokazał się, aż trzeciego. Ordyński wybiegł naprzeciw niemu na wschody, zamknął się w gabinecie odległym.

— Co — spytał — jakże idzie interes?

Cavaliere spuścił głowę — źle — rzekł — de Cerulli ani słuchać nie chce...

Podczaszyc ręce załamał.

— Jak to? za nic?

— Nie spieszmy — przerwał poseł — kto wie, myśl rzucona, myśl może powoli wyrosnąć w nim, na to tylko potrzeba czasu. Wprzód, gdy mu to powiedział, zakrzyczał ze zgrozą, potem w godzinę sam mnie o to zaczepiał... Kto wie, co będzie jutro?

— Więc, choć trochę mogę mieć nadziei.

— Będziemy robić, co tylko można; ty wiesz — dodał pośrednik — jak ci sprzyjam i do jakich ofiar na usługi twoje gotów jestem.

Skłonił się; wyszli, podczaszyc rozogniony, on zimny i drwiący.

Znów upłynęło dni parę, w ciągu których durzył się jak mógł podczaszyc, chodząc od okna, z którego widział Julję, do stolika gry i kieliszka.

Cavaliere się nie pokazywał. Wieczorem trzeciego dnia, oderwał go nagle od stolika i uprowadził do gabinetu.

— Spieszmy — rzekł żywo — rzecz się zrobić może — de Cerulli potrzebuje tysiąca dukatów, zgrał się trochę wczoraj, zaczepił mnie sam o targ, płąć i bierz swoją ukochaną.

Podczaszyc porwał się za włosy, grosza przy duszy nie miał.

— Ale ja właśnie jestem bez pieniędzy!

— To nic, pożyczmy, choć na większy procent dla pośpiechu, bo tu z godziny korzystać potrzeba; napiszesz potem do Lebedzińskiego, przyszłe z Głuszy. Daj skrypt do roku na tysiąc kilkaset, a dziś jeszcze swoją mieć będziesz.

Ordyńskiemu zawróciła się głowa, siadł, napisał, i zataczając się prawie, rozmarzony do gry powrócił.

— O północy! — szepnął mu w ucho cavaliere. — Zabiorę ją i przywiozę tutaj, przygotuj dla niej pokoje, bo kapryśnego będziesz miał ptaszka, a ciesz się swem szczęściem, którego ci pierwszy mam honor powinszować.

To mówiąc, Fotefero schował papier do kieszeni, a uśmiech towarzyszący słowom jego tak był dziwnie chytry i szyderski, że podczaszyc pomimo namiętnego zaślepienia, nieco się uląkł.

Przeszło to jednak, jak lekka chmurka. Posażdziwszy kogoś na swoim miejscu do gry, polecił

śam urządzać dom, przygotowywać się uroczyscie, chcąc obchodzić przybycie pięknej Julji, którą przyjaciółom jako metresę en titre miał prezentować.

Cały tłum gości, dowiedziawszy się, że sławna z piękności i niecnoty swej pani Kozłowska przechodzi do podczaszyca, podniósł kielichy do góry i zawrzeszczał wiwatem przerażającym. Jenerał tylko ruszył ramionami, spełniając swój kielich i bardzo zwiesił wąsy.

— Do diabła! — rzekł do gospodarza — jeśli sobie z nią dasz radę, to powiem, żeś gracz!

— Alboż co? — spytał podczaszyc niespokojny.

— Ba! posłuchaj księcia Nestora, co ci o niej powie! że ładna, to prawda, buziaczek prześliczny, taka bestja, że mnie nie raz starego zelektryzowała, ażem sobie pomyślał, że dla niej by warto maleńkie głupstwo zrobić — ba! ale z węzem, co się z dłoni wyslizga, łatniej byś sobie dał radę, niż z nią!!

— Ale jakąż ma wadę! jaki grzech?

— Wszystkie, ile jest powszednich i głównych, pospolitych i nadzwyczajnych!

Cofnął się podczaszyc.

— Zazdrościsz mi — zawołał — i straszysz!

— Na ten raz, że nie zadroszczę ci, to pewna, przekonasz się rychło. To się nazywa złapał kozak Tatarzyna. Myślałeś, żeś sobie skarb kupił, a tu cię tak wystroili, że tylko biedy napytasz. Wiesz o babie przysłowie, co nie miała kłopotu.

— Pleciesz jenerale.

— Niech i plotę, nalej wina, wiwat piękna Julja, sileat invidia!

Podczaszyc, który łatwo ulegał wpływowi drugich, pomimo rozkochania, trochę się jenerała pogroźkami poruszył, ale wnet zahuczano proroka kło-

potów, zapito sprawę i oczekiwano, gwarząc wesoło północy i instalacji Julji na nowem gospodarstwie.

Północ wybiła na zegarach miejskich, gdy turkot karety, zastanawiającej się w dziedzińcu, wszystkich ustawił w szeregi ciekawe. Podczaszyc wybiegł, drzwi się otworzyły szeroko, i piękna Julja, wiedziona przez Fotofera, ukazała się na progu, oglądając śmiało po zgromadzeniu. Ordyński podał jej rękę z uczuciem, wpatrując się w tę twarzyczkę, która w tej chwili dość surowa i zimna, zdawała się przypatrywać i liczyć nowych poddanych.

Gdy weszła, oczy wszystkich zwróciły się na nią, znowu podniosły się przygotowane kielichy, i szumny toast, któremu towarzyszyła muzyka, podniósł się na sali. Julja uśmiechnęła się tylko, spojrzała w twarz podczaszycowi, jakby mu się bliżej chciała przypatrzeć, odwróciła z lekkim ukłonem do gości i siadając na pierwszym miejscu, gdy przechodzili przez salę jadalną zawołała:

— No, siadajmy jeść, Michasiu! jestem okrutnie głodna, do trzystu djabłów!

Oklaskiem przyjęto ten wykrzyk grubijański, podczaszyc się trochę zmarszczył, ale humorem nadrobił i przysiadł się przy królowej uczty, która na początek kieliszka likworu zażądała.

Jenerał trącił w bok łokciem sąsiada.

— Takuteńka była u ks. Nestora, szatan baba, zobaczycie dalej!

Niektórzy z biesiadników, co jeszcze pięknej Julji nie znali, na widok niespodziany prześlicznej kobiety, której mowa i głos w takiej były sprzeczności z wrodzonym wdziękiem, ogromne zrobili oczy, inni poklaskiwali oryginalności. Ordyński widocznie nie

bardzo był rad swej ekscentrycznej kochance, wołał by był pospolitszą, ale cóż było począć?

— Ja ją przeistoczę — rzekł, pocieszając się w duchu!

Zaczęła się rozmowa, do której w początku nie wiele się mieszała piękna gospodyni, ale zaspokoiwszy głód pieczysem a pragnienie kilką kieliszkami cypryjskiego wina, które jej wcale główki nie zawróciło, rozochociła się jakoś.

— Widzę po tej kolacyjce — rzekła, odwracając się do podczaszycy, którego bez ceremonji pocałowała w twarz głośno przy rześzystych brawach — że z ciebie porządny chłopiec i dobry gospodarz, wypije twoje zdrowie, podobasz mi się doprawdy.

— Zdrowie podczaszycy! — huknęła za Julją kompanja.

— Będzie mu tu zdrowie! — szepnął jenerał

Wszystko, aż do ostatniego wybryku zwycięsko uszło pięknej Julji — wdzięk twarzy tak zaślepiał!

W tem, ktoś z młodszych, przypomniawszy sobie stare obrzędy nasze weselne, które modą było naówczas wyśmiewać, zaproponował, żeby nowożeńcom sprawić kompletne na śmiech wesele. Pokłasnieto tej szalonej myśli; Julja, że się bawić lubiła, pochwyciła ją z zapalem i nuż wybierać družbów, marszałków, oratorów, swatów, znosić marcepany i podarki.

Podczaszyc z początku i to dość chmurno przyjął, ale jak się oprzeć tłumowi, który wre, opanowuje, zakrzyczy? Właśnie naówczas grywaną i drukowaną była komedyjka dość licha: „Pan poznany”, w której na scenie wyśmiewano nasze stare poważne oracje, a że dwóch obecnych, podkomorzy Brański i ktoś drugi umieli te krotocwilne mowy, zmuszono

ich, by udawali organistę, oddającego wieniec na wiejskim weselu, i bakałarza, mówiącego od panny. Charakterystyczna to była scena, w której cały ów wiek się malował, nieumiejący poszanować przeszłości, bo jej nie rozumiał. Organista zaimprovizowany, umówiwszy się z mającym mu odpowiadać, tak rzecz rozpoczął:

— „Antypatyczny bystrego lotu i wysokiego humoru orzeł, gdy się nad niebotycznym Karpatem unosi, wybijawszy nad złotolite perłorodnego Olimpu bisiory, twarz w twarz, oko w oko, niezmrużoną żrenicą zagląda Tytanowi, a potem, skierowawszy ją do purpurowego zodiaku, ślicznych i licznych gwiazd nieporuszonemu przypatruje się obrotowi. Skoro jednak myśliwskiej trąby rezon ciekawym zachwyci uchem, leci jak szalony do znajomej sobie myśliwskiej ręki. Tak właśnie bystrołotny zapęd rozbujanych afektów JMpana Michała Alfiera mego wielce miłościwego pana, gdy od jednej, do drugiej przelatywał piękności, ani w słońcu, ani w gwiazdach nie znalazł wypieszczonych wdzięków, ile ich upatruje w liljowej twarzy...

— A pfe! — syknął jenerał.

— Co pan masz przeciw twarzy liljowej? — spytał orator.

— Że gdyby była liljowa, nie byłby do niej pan podczaszyc tak przylgnął — rzekł jenerał — ale proszę kontynuować.

Śmiech trochę przerwał mowę, ale orator wkrótce począł dalej.

— W liljowej twarzy, w koralowych wargach, w srebrnolitych oczach...

Jenerał znowu zaprotestował.

— Patrz-że pan w oczy nie w sufit, bo w nich srebra nie znajdziesz.

— Cóżem ja winien, że tak w tekście stoi.

— Poprawiaj pan tekst...

— A zatem, kiedy chcecie, w czarnoognistych oczach i w piersiach alabastrowych...

— Daj to Boże! — rzekł jenerał cichuteńko.

— Alabastrowych — mówił dalej orator — JMpanny Julji. — Niech ustąpi przed nią Djana...

— Ba, to prawda — szepnął ktoś z tyłu. — Dia nie się z nią nie mierzyć, ta Endymionów sobie nie żałuje.

— Niech Kalipso i z swoją Dydoną za piec się schowa, żadna ją bowiem piękność skomparować nie może. Wszakże i JMpanu Michałowi niczego! Owa rażność, owa kibić, owa talja, wszystkich na siebie oczy porywa!

— Świadkiem trędowata wojewodzicowa, która by była dała folwark chętnie dożywociem za pana podczaszycą — szepnął znowu jenerał.

— Miło patrzeć, kiedy — (za pozwoleniem), przerwał sobie orator — tu sęk!

— A co tam takiego?

— Sęk, powtarzam, oracja organisty mówi o Bartku simpliciter, a jak podczaszycu Michale, tamta wychwala jego czyny wieśniacze, cóż ja mam począć, czy zostać organistą Bartkowym, czy oratorem Ordyńskiego?

— Mów już lepiej, jak organista — rzekł jenerał, popatrzywszy na twarz gospodarza, bezpieczniej to będzie; gdybyś zaczął komponować, może by ci się nie tak udało.

— Istotnie, bezpieczniej cudze powtarzać — odparł orator, subintelligitur, więc, że podczaszyc jest

prostym parobkiem, a panna Julja prostą wiejską dziewczeczką.

— Jak sobie chce — przerwała gospoia — ale mi WMpan nie praw jakich impertynencji, bo jak mi honor miły! zamaluję bez ceremonji!

— O! nie głupim — rzekł orator — zostawię mowę drugą bakałarzowi, z tamtym pani zrobisz, co się jej podoba.

— Mów dalej, mów dalej! słuchamy! cicho!

— Cicho!

Organista więc ruszył dalej, i tak rzecz ciągnął, gestykulując pośpiesznie:

— Miło patrzeć, kiedy on bohaterskim krokiem, stanąwszy na łące, tysiączne nieprzyjaznych kwiatów nieuchronną kosą swoją łby ścina, miło patrzeć, kiedy, idąc za plugiem, pieniające się jego potem zagony z gruntu wywraca. Nie zapominam tu magna nomina et numina zacnych jego antecessorów. Wiadomo światu sarmackiemu, jak wielkim był w ojczyźnie mężem jego stryj rodzony, który będąc zacnym hajdukiem u jegomości pana stolnika piltyńskiego WMpana i brata, w takich u niego był respektach, że często w jednym z nim pokoju, miluchno, acz na podłodze zasypiał. A cóż mówić o zacnym jego wuju niemniej? który, będąc biegłym w żeglarskiej sztuce rotmanem, niestrwożonym sercem wypatrował się za Gdańskiem z suchego lądu szumnym oceanu fałom, i wielkie w ojczyźnie zostawił zasługi, nawożąc do nas toruńskich pierników. Z tej tedy prozapij, pochodzący in linea directa dzielny JMpan Michał, bombardującami afektu swego taranami długo szturmowawszy do jej twardego serca, gdy całe już je sobie podbił, chce teraz tym zwycięskim wieńcem, który ofiaruje, ukoronować. Chciej-że przyjąć WMpana

wdziękorodną rączką swoją, któraś go za serce ujęła. Niech faworyzująca fortuna wywija dla was złote szczęścia pasamany, niech Pallas do najwyższych honorów w ojczyźnie bramy wam otwiera, niech la-ta Nestorowe przedzie Libityna. Dixi!

Oklaski znowu i śmiechy powstały, choć niedość dowcipną oracją wywołane, podczaszyc tylko, choć z innymi bił w dłonie, jakoś smutnie głowę zwieszał.

Bakałarz, który miał od panny prawić odpowiedź, zdaleka wlaższy na ławę, tak zagaił perorę:

— Stanąwszy przed ślicznym, licznym i pompacyjnym gronem, nie wiem skąd mam począć, zacząć i owinąć osnowę mojej, że tak się wyrażę perory. Auditores ornatissimi! Zadrżał by od strachu, choć nie widząc zamachu Marcus Tulljusz, a Cicero nie śmiałby i gęby otworzyć, gdyby mu przyszło przed wami orację tworzyć, jako się sam z tem nie tai in principio totis artubus contremisco — wszakże, atoli, przecie, jednakże muszę perorować i admirować mihi jussa capessere fas est. Gdy się waleczny choć niestateczny Virgiliusz Flaccus zalecał do Didony, temi go słowy przywitała: — Non ignara mali miseris succurere disco.

Na te słowa hałaśnie poczęli się śmiać wszyscy, a niektórzy, aż za boki biorąc. Julja się zmarszczyła, nachmurzył gorzej jeszcze podczaszyc, ale, że jejmość łaciny nie rozumiała, przeszło to jakoś płazem.

— Podobnym afektem i wdzięcznym respektem przyjmuje dary i ofiary od JMpana Michała zacna dama JMpanna Julja, chociaż nie taję, że w myśli staje przestroga udzielona Lacedemończykom przez Annibala — Timeo Dannos et dona ferentes.

Nie myślę ja tu wyprowadzić zacnych JMpanny Julji przodków i niewyrodków, wszakże, atoli, jed-

nakże, nie godzi mi się zamilczeć wielkich talentów, ile że z fundamentów, przezacnej jej ciotki, która jeszcze w kwiecie młodości swej służąc w Warszawie, przy pięknej sławie, całe dnie i noce w sklepiku trawiąc, szostakowego piwa hojnie i spokojnie wszystkim udzielała...

Jeszcze tych słów nie domówił bakałarz, gdy piękna Julja błyskawicą podbiegła ku niemu i rozgniewana, potężny, głośny, tytaniczny wycięła mu policzek. Zamieszanie stąd powstało wielkie, śmieli się jedni, urągali drudzy, piszczął bakałarz, chcąc koniecznie oddać za swoje choć conceptem. Podczaszyc chodził, jak chmura jesienna, a przerwany obrzęd na tem się przecie zakończył, bez marcepanów, ceremoniału oddawania w łożnicy, pokładzin i reszty. Goście zmęczeni powoli wysuwać się zaczęli, a piękna Julja uspokoić się nie mogła, latając po pokoju i wołając krzykliwie:

— A to impertynent! a to gałgan jakiś! patrzaj go! nieprawda! Nigdy ciotki nie miałam na szynku, siedziała w Warszawie, no to siedziała, ale za swojemi interesami, co jemu do tego!

— Każda Teresa, ma swe interesa! — mruknął wynosząc się także i z flegmą żegnając gospodarza jenerała. — Dobranoc ci, panie Michale... a ot i ranek już w oknach!!

Jeszcze kilku niedolanych pijaków ziewało i krzyczało przy kielichu w sali, gdy jasny dzień nowemu życiu biednego Ordyńskiego zaświecił.

X.

Anna nie miała ojca. — Zimne jego zwłoki czarnej wóz i szereg księży wywiódł na cmentarz miejski,

gdzie w tłumie mogił tysiąca, wkrótce tej jednej znaleźć nie będzie można. Za trumną, prócz Anny w żałobie we łzach, nie było prawie nikogo; posłano do podczaszycy, bo go O. Spirydjon myślał śmiercią starego sługi obudzić, ale kogo zgón matki nie wyrwał z szalów rozpusty, mógłże zgón obojętnego poruszyć człowieka? Podczaszyc właśnie był po wczorajszej uczcie weselnej. Zamknięty z piękną swą Julją, gdy mu o śmierci Sienińskiego oznajmiono, przeczytał kartkę, ruszył się i upadł na kanapę. Anna mu przyszła na myśl, jej sieroctwo, opuszczenie, czekający ją może niedostatek. Żal mu się trochę zrobiło dziewczęcia, potem zagadała zemsta, przemówiło lenistwo, zawarczała namiętność, odłożył do jutra i na pogrzeb nawet nie poszedł.

Jedynym opiekunem Anny pozostał O. Spirydjon, który w niepokoju o los jej, choć nie doradzał zakonnego życia, namawiał na schronienie w klasztorze. Było to w kilka tygodni po pogrzebie, a dziewczę już ochłonawszy z pierwszych wrażeń, co je z początku przybiły, odzyskiwało wolę, zapał i siły. Oplakując ojca, Anna nie straciła z oczu towarzysza swej młodości dla którego tu przybyła, chciała go ratować jeszcze, a uczuwszy się teraz swobodniejszą, myślała dziełu przez starościnę wskazanemu jej we śnie, poświęcić się teraz cała. Klasztor więc nie odpowiadał wcale jej zamiarowi, musiała pozostać wolna, a nie chcąc i nie mogąc mieszkać sama, odezwała się śmiało o radę do O. Spirydjona.

— Wszak może ufnąć twą zyskałam ojciec! — odpowiedziała mu — widziałeś mnie w różnych życia wypadkach, znasz mnie trochę! chcę pozostać sama i swobodna, nie taję dlaczego, bo muszę ratować

podczaszyca. Jak, nie wiem, ale silnie chcę i starać się muszę!

O. Spirydjon ruszył brwiami i zażył tabaki.

— To mi się nie podoba — rzekł — bo to nie kobieca rzecz, rady, rady sobie nie dasz, a zgubić się dla niego łatwo. Ja ci dziś wierzę moje dziecko, ale czy jutro pozostaniesz, tak, jak dziś, nie ręczyłbym. Ludzka natura, jak garnek o którym póki surowy nie mówić, aż się w nim ukrop zagotuje.

— Ale ty ojciec znasz najlepiej, że serce mam dotąd niezspsute, a gdyby w nie co złego wkraść się miało, wierz mi, poczuję i przyjdę po radę.

O. Spirydjon zamilczał.

— Ale cóż myślisz począć, szalona głowo? — zapytał ruszając ramionami.

— Sama nie wiem; robić będę co można, czem mnie natchną okoliczności. Środki zależą trochę od tego co mi ojciec i stryj zostawili; nigdy ojciec nie pytał o to, dziś proszę powiedz, co mam?

— Właściem ci o tem przyniósł wiadomość — odpowiedział kapucyn, dobywając papierów z rękawa — wezwałem kilku świadków, zrobiliśmy rachunek i — tu spojrzał na dziewczę okiem badawczym śledząc każde jej drgnienie — i powiem ci, że jesteś bogatą, bardzo bogatą nawet.

Anna zarumieniała się, jakby z radości.

Ksiądz zasmucił się.

— Cieszysz się? — spytał.

— Cieszę się — odpowiedziała — bo użyję tego grosza aby go wydzwignąć i uratuję! Bez dostatku trudniej by mi to może dokazać było. Ale zkadże te niespodziane bogactwo?

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć — rzekł staruszek — ojciec twój w pocie czoła zebrał ci kil-

ka tysięcy czerwonych złotych, pan Kasper nie wiem jakim sposobem zostawił ich po sobie w czystym złocie kilkadziesiąt tysięcy, dość piękne klejnociki, oszacowane także na tysięcy kilka, skrypta pewne i zastawy.

— Jakże mu to przyszło?

— To tajemnica między nim a Bogiem; wiem, bo duszy jego byłem stróżem, że złemi środkami nie dorobił się tego mienia, ale kilkadziesiąt lat niesłychanego skąpstwa nie lada co może.

Anna zamysliła się, jak na modlitwie ze złożonymi rękoma i po chwili wstała.

— Więc mogę — zapytała — pokazać mu się dostatniej? może też choć tak ku sobie go pociągnę z tej otchłani.

— To straszna igraszka — rzekł surowo kapucyn — czynisz to w niewinności ducha, co zgubić może! Ale strzeż się na Boga, radź sumienia, nie ufaj siłom swoim, bo nie jedna tak zginęła.

Anna uklękła całując drżące dłonie O. Spirydjona, i prosząc go o błogosławieństwo.

— Święty mój ojciec — zawołała — czyste mam myśli i zamiary, biorę za świadka tę moją opiekunkę, która mi z nieba powierzyła dziecię swoje — nie chcę mojego szczęścia, chcę zbawienia jego! Niech ja zginę, byleby on ocalał. Kocham go, nie zaprę się tego, ale go odstąpię byleby szczęśliwym był pocziwem szczęściem, błogosławionem przez Boga. Przeżegnaj mnie ojciec i nie lękaj się o mnie.

W kilka dni potem. Anna za poradą kapucyna, który miał styczność z ludźmi klas różnych, przyjęła do domku swego wdowę, niegdyś majątną, dziś zubożałą, niejaka panią Wąhorską, która jej nieodstępna odtąd towarzyszką być miała. — Wybór ten był dość szczęśliwy, bo jej wychowanie, charakter i hart z ja-

kim przetrwała doznane nieszczęścia, rekojmie na przyszłość dawały. Mąż jej niegdyś, za-
możny obywatel z pod Płocka, mając szczególną fa-
milijną od dziadów jeszcze żyłkę do procesów, pomi-
mo najusilniejszych perswazyj żony, do ostatniej ko-
szuli się pieniał i umarł, zakładając apelacją od jakie-
goś dekretu. Skutkiem tej przeszłej w nałóg namię-
tności do procesów, Wąchorscy stracili co mieli do sze-
łaża, a matka została z dwojgiem dzieci na bruku.
Mając dawnych znajomych i stosunki w Warszawie,
utrzymywać studentów, z tego się żywiła. Tymczasem
udała się do stolicy, gdzie jakaś resztką poczawszy
własne jej dzieci poumierały, widok cudzych tak boleś-
nie pocziwe jej serce rozranił, że musiała swój chle-
ba kawałek na cieńszy daleko odmienić. Założyła więc
pralnię batystów i koronek, tak naówczas używanvch,
które nieraz aż do Paryża wykwiniejsi posyłałi,
i z tego zapracowanego ciężko chleba, utrzymywała się
ubogo. Pomimo, że jej pomagano, ceniąc cnotę, poboż-
ność i szanując nieszczęście, jakoś i tu nie bardzo się
jej wiodło, a że była charakteru łagodnego, nie mogła
sług w przyzwoitej utrzymać karności.

Dwie kobiety znalazły w sobie źródło pociech nie-
wyczerpane i gorąco się pokochały. Anna prócz tego
załadniła swój dworek kilką sługami, Hołodrydze tyl-
ko przez litość zostawując dawny kątek przy bramie.
Wzięto się zaraz do odświeżenia domku, a że w mieś-
cie byle pieniądz wszystko łatwe, w kilka tygodni sta-
nął, jak laleczka ze zmienioną skromną ale wdzięczną
powierzchnością, obmyty ze starej rdzy i brudów.

XI.

W kilka dni po owym wieczorze u podczaszyca,
który zakończył tak dobrze wymierzony policzek, ca-

ła Warszawa mówiła o Julji i Ordyńskim. Uderzenie
oratora szczególnie szeroko się głośnem stało, bo
o niem nawet przy rannej tualecie królowi JMci opo-
wiałał Bacciarelli, nie bez dodatkowych szczegółów
o Julji, bo z niej raz malował Venus wychodzącą z mo-
rza, co mu ją ze wszech stron dobrze poznać dało.

Jenerał w tydzień coś potem, przyszedł swoim
zwyczajem rano do dawnego pupila.

Zastał go przed zgasyłym kominem w małym po-
koiku, z głową spuszczoną, z oczyma zapadłemi, z mi-
ną nadzwyczaj kwaśną.

— Jak się masz Ordyński? — zawołał w progu—
a co? jak się tam powodzi *in nexu quasi matrimoniali*?

— Ba — odpowiedział podczaszyc, siłąc się na
błady uśmiech — jako tako! — Ale i uśmiech i słowa
rozlały się w jakimś wyrazie znużenia.

— Cicho! cicho! jenerale.

— Co to jest? i dlaczego?

— Julja tuż śpi w drugim pokoju, dała by mi do-
piero, żebyśmy ją przebudzili!

— A no! to chodźmy, ztąd gdzie indziej.

— A nuż zbudzi się i wstanie?

— To co?

— Potrzeba, żebym był zaraz, gdy oczy otworzy.

Jenerał się rozśmiał w kulak.

— A to cię widzę spętała! Cóż u kata? boisz się
jej, czy co?

Podczaszyc ruszył tylko ramionami, trudno mu się
przyznać było, wyszli na palcach do gabinetu, jenerał
posłał swoim obyczajem po zwykłe śniadanie, ale po-
kazało się, że klucze wszystkie były pod poduszką
u pani.

— O! o! a to widzę okulbaczyła cię kompletnie—
zawołał stary, ruszając ramionami niecierpliwie —
poszlijże do cukierni.

Posłano do cukierni, a podczaszyc zawstydzony, śmiechem nadrabiał.

— A no, kochany panie Michale, spowiadać, że mi się szczerze, to coś widzę zakrawa na niewolę Babilońską, jeśli tak potrwa, wypadnie zakasawszy poły uciekać.

— Ale to tylko pozory! pozory! — zawołał podczaszyc. — Julja rzeczywiście trochę dziwaczna, ale jej serce...

— Gadaj o sercu któreś za miły grosz kupił!

— Wszakżeśmy się kochali wprzód?

— Kpij zdrów z tego kochania, serca niema u takiej kobiety; że piękna, jak Venus nie przeczę, ale to podobno pierwszy jej i ostatni przymiot, no, gadaj szczerze i radźmy!

— A jak posłyszysz? — rzekł oglądając się podczaszyc — albo nas kto posłucha i doniesie?

Baucher się rozśmiał głośno, tak, że Ordyński znów zląkł się, by śmiech jego nie obudził pani.

— Na miłość Boga, cicho! — zawołał — niechże sobie śpi! nie budź licha!

— No, no, będę się wstrzymywał, gadaj mi o twarciu, to widzę Herod baba, trzeba na to lekarstwa.

— Ale ja ją kocham!

— No! no! przez punkt honoru! — odparł stary, trzęsąc głową — jesteś widzę, jak ten szlachcic ze wsi, co gdy w garkuchni za obiad zapłaci, musi go zjeść do pylinki, choćby mu bokiem wyłaził.

Ordyński się uśmiechnął.

— Masz jej dosyć, jestem pewny — kończył jenerał — djabeł ci ją nadał, gotowa nam do licha zamknąć dom wesóły i jeszcze cię naprawdę z sobą ożenić, tego ja sobie nie życzę.

— Słuchaj jenerale, ale ty jutro roztrąbisz po całym mieście, co ci powiem?

— Michasiu! chyba się upiję — odpowiedział dobrodusznie Baucher — po trzeźwemu nie zdradzę.

— Ależ jenerale, ty się dziś jeszcze upijesz!

— Wszystko to być może, ale jak ci dam trzeźwe i pijane słowo honoru, rachuj na mnie, te ci daję!

— Cicho tylko.

— Cóż więc.

— To szatan z piekła rodem ta kobieta! — zawołał podczaszyc łamiąc ręce.

— A com ja ci mówił, nie trzeba było kota w worku kupować.

— Stało się!

— To i odstać się może, czem ci u licha tak dojadła?

— Wystaw sobie jędzę — złośnicę, zalotnicę nieposkromioną, chciwą, jak żyd, podejrzliwą, jak szatan a wdzięczną i piękną, jak posąg grecki kobietę.

— Tu sęk! — rzekł Baucher.

— Owładła mi domem, kuchnią, ludźmi, pieńdzmi, przyjaciółmi, wszystkim co moje było, co mnie otaczało — stałem się niewolnikiem, kryć się muszę i męczę, jak w piekle.

— No! ale ładna bestja! — rzekł, śmiejąc się stary, i dodał namyślając się: — Potrzeba się z tego wycofać!

— Niepodobna.

— Jakto, niepodobna?

— Ale ja za nią szaleję?

— Toś warjat!

— Może, ale tak jest!

Jenerał popatrzył, ruszył ramionami i począł pić czekoladę.

— Pomyślimy — rzekł — ale cię to widzę nie mało kosztować będzie.

— Zna to, że mnie opanowała — dokończył podczaszyc — rzuca mną teraz, jak dzieckiem; jeszcze na dobitkę, wystaw sobie jenerale, co dzień pod oknem tego nieszczęśliwego Kozłowskiego z jego łysą, jak kolano głową, który patrzy w okno moje, dobija mi się do drzwi, awantury wyrabia i tłumy tu sprowadza... gdy ta nielitościwa najniegodziwiej szedł z biednego warjata!

— Pfe! tu już coś zarywa na tragedję — rzekł jenerał — pomyślimy... a gdybyś uciekł?

— Powiedziała mi wbrew, że tyłu już miała kochanków, którzy się z nią nie ożenili, chociaż obiecywali, iż musi teraz pójść za mnie, com jej nic nie przyrzekł!

— Czuje, żeś słabizna! a mąż?

— Mówi, że ma rozwód w kieszeni.

— Kiedy tak, — rzekł przyjaciel — to nie przelewki, poznała cię, że z tobą zrobi co zechce, potrzeba się ratować, bierz paszport i uciekaj, gdzie pieprz rośnie.

— Ale bo mi jej szkoda!

Jenerał dziwną zrobił minę i umilkł.

— Widzę — rzekł — że cię niechybnie ta djablica ożeni z sobą, a żal mi cię kochanie. Mogłbym ci wyrobić u króla jaką misję do Stockholmu lub gdzie daleko, aleś ty widzę ugrzązł, a baba cię poznała na wyłot. Rób-że sobie sam co chcesz.

Podczaszyc pochodził po pokoju wielkimi krokami zadumany i odezwał się z goryczą:

— Ha! nażyję się, nażyję! a potem sobie w łeb strzelę!

— Tak!! — podchwycił jenerał patrząc mu w oczy — widzę żeś na drodze do czubków! Trzeba ostatniego warjata, żeby to zrobić! Chybaby mu gęba zarosła żeby już pić i jeść nie mógł!! Wierz mi, życie takie warte swoje trzy grosze, a pistolet najgłupszym jest instrumentem.

— Tak! — rzekł podczaszyc z rozpaczą i dziwną jakąś łzą w oczach — świat nie wiele wart, wysmoktać go, wysmoktać, a z łupiną precz do stu djabłów!

— Ha! na desperację ci się widzę kochanku zebrało. Ależ rozsądny człowiek póki ma grosz, zdrowie i dobry żołądek, nigdy desperować nie powinien, bo to wielkie, wielkie głupstwo!

— Ty tego nie rozumiesz nigdy jenerale!

— Istotnie, ani się na to silę — jak na wiersz Trębeckiego, którego słucham z przyjemnością, ale i nie myślę głębokich jego arkanów penetrować.

W tej chwili dzwonek, którym gniewnie miotła ręką, rozległ się hałaśliwie w przedpokoju; dom przed chwilą cichy cały zatętniał żywymi krokami biegnących ludzi, a choć wszystko to się spieszyło i leciało co tchu, już słyszać było łajanie pięknej Julji, która zawsze burzą dzień rozpoczynała. Podczaszyc porwał się także i nie żegnając nawet jenerała, wybiegł ku sypialni, do której z jednej strony zdyszana służąca, z drugiej chłopak z kawą, z trzeciej lokaj z ciastem spieszył, bo pani ledwie otwarłszy oczy, w łóżku zwykła była jeść śniadanie.

Jenerał spojrział na to okiem doświadczonego postrzegacza, potrząsł głową upudrowaną, wargę

dolną wychylił, czoło zmarszczył i biorąc kapelusz pod pachę, arcykomicznie szepnął sam do siebie:

— Ka - put!!!

Na szerokiem łóżku osłoniionem firankami z ciężkiej pasowej materji, ozdobnej złotą szmuklerszczyzną, w przejrzystych osłonach, na miękkim łabędziem posłaniu, ubranem w przepyszne koronki, leżała piękna Julja, leniwie czarne otwierając oczy. Tuż przy niej siedział posłuszny podczaszyc, stała panna i stoliczek z kipiącą kawą.

Ziewnęła i powoli rozwarła powieki:

— Żle spałam! — zawołała — a! jak mnie głowa boli! dlaczegoś tak rano wstał? — spytała — chodziłeś gdzie? — Spojrzała mu w oczy, aż się biedny zmieszał.

— Ja? nigdzie.

— Kłamiesz! nie byłeś w drugim pokoju, leciałeś aż z trzeciego gdym zadzwoniła.

— Tak jest!

— Poco-żeś tam poszedł?

— Miałem u siebie jenerała.

— A mówiłam ci, żebyś tego starego wieprza nie przyjmował.

— Co mówisz! to najlepszy mój przyjaciel!

— Do kieliszka, do sakiewki — tys łatwowierny, jak dziecko a oni cię odzierają.

Podczaszyc uśmiechnął się boleśnie.

— To go nie przyjmę więcej! — rzekł cicho.

— Pleciesz! póki ja go nie odprowadzę, ty sam sobie rady nie dasz, ale ja staremu trutniowi tak zaleję za skórę, że tu więcej noga jego nie postanie.

— Złituj-że się, co on ci winien?

— Nie lubię go! Stary, paskudny! Hej, gałgany, kawa pani ostygła! — dodała z gniewem.

Podczaszyc pochwycił sam tacę i z nią wyprzedzając ludzi do kawiarni poleciał.

XII.

Takie było położenie Ordyńskiego, a Anna która wiedziała o wszystkim, z bijącym sercem śledząc każdy ruch jego nad brzegiem przepaści, łamała ręce, szukała sposobów i nic nie umiała poradzić. W głowie i sercu swoim badała środki, jakimi by go wyrwała z rąk kobiety i ludzi, co do ostatecznej ciągnęli go zguby, ale pomysły były szalone, jak uczucia, a w biały dzień na zimno począc, co one doradzały, nie miała odwagi.

Wąchorska, której mąż jakiś czas trzymał dzierżawą majątek z Lubomirszczyzny, co ją potem Ponińscy wzięli po żonach, a gdzie właśnie i Kozłowski służył, znała tę kobietę z widzenia i przez drugich, słyszała potem wiele o niej w Warszawie i odmalowała Annie w tak przerażających kolorach, w jakich ją cały świat widział. Było to wadą biednej wdowy, że choć ją nieszczęście przybywające złamać nigdy nie mogło, zbyt mocno może przewidywała je i przeczuwała, wszędzie najgorsze wróżąc skutki, bo do pomyślności nie była przywykła.

Mieszkanie Anny, tak daleko leżało od domu, który zajmował podczaszyc, że widzieć go i wiedzieć nawet o nim dość było z tego powodu trudno. Mimo oddalenia jednak, Anna chodziła najkrętszą wybierając drogę do kościoła Kapucynów, by idąc spojrzeć choć w okna Ordyńskiego, czasem go spotkać na ulicy, czasem z daleka życia jego widzieć urywek.

Jednego poranku kiedy wciąż prosi Boga, żeby jej dał siły i potrzebny do czynu kierunek, z Wą-

chorską razem wyszła na mszę do kościoła, swoją zwyczajną a najdalszą drogą. Mijając dom podczaszycą spojrzała ukradkiem w okna, firanki były pozapuszczane, wszystko w nim milczało i zasypiało po burzliwej może nocnej zabawie. Westchnęła Anusia, a w tem o kilka kroków, niepostrzeżony wprzód spotkał ją podczaszyc. Szedł on przeciwko dawnemu zwyczajowi swemu pieszo, — bo konie i powozy zostawały pod dyspozycją pani — blade, wyniszczony, zmieniony do niepoznania i straszliwie smutny. W twarzy jego nie rozpacz ale jakieś malowało się zubożenie, patrzył i nie widzieć się zdawał, żył bez uczucia życia, szedł jak bez celu... miał pozór pijanego... Na wąskiej ścieżce spotkali się nagle z Anną, oczy ich zetknęły się w wejrzeniu niespodzianem, żywy rumieniec okrył twarz dziewczęcia, podczaszyc zastanowił się i coś na kształt uśmiechu gorzkiego prześliznęło mu się przez usta.

— A! dzień dobry ci, Anusiul

— Dzień dobry!

— Dokądże to idziesz?

— Ja! do kościoła! Sierotom modlić się trzeba goręcej jeszcze, bo Bóg im tylko ojcem i doradcą. — To mówiąc wskazała na swoje suknie żałobne. Podczaszyc zadumał się jakoś posępnie. Łagodna Anny twarzyczka, którą kusił wdzięk nie naśladowany nigdy prawdziwej skromności i dziewictwa w duszy, tak była dla niego teraz zjawiskiem miłym, anielskim, po wyuzdanej Julji, jak woda kryniczna po palącym napoju!

Siła wspomnień, boleść za przeszłością, skryta miłość, co gdzieś żyła przytulona w serca zakątku, nie dozwoliły mu minąć jej obojętnie, — zastanowił się, stali oboje, milczeli.

— Pan nie jesteś chory? — spytała Anna po cichu.

— Chory? ja? nie! — odparł znów z gorzkim swym uśmiechem, pocierając czoło — alboż widzisz co na twarzy mojej?

— Zmizerniałeś pan, zbladłeś!

— Może być, jestem zmęczony — pozwolisz bym cię kilka kroków przeprowadził, po dawnej znajomości.

— I owszem, na mszę wcześniej jeszcze, przejdziemy się trochę.

— Chodźmy więc — podając jej rękę, rzekł Ordynski nieco weselej, — przypominam sobie dawne nasze czasy dziecińne, kiedyśmy tak razem chodzili w Głuszy po ogrodzie.

— Nie! nie przypominajmy — odpowiedziała Anna — Głusza i wszystko cośmy tam przeżyli nie powróci już nigdy! życie dziś tak ciężkie dla mnie, gdy błysnie przy nim ta przeszłość, czarniejszem jeszcze się wyda.

Podczaszyc westchnął.

— A! prawda — rzekł — nie wróci się to, nie wróci! nie wstaną z grobu ani babka, ani matka, ani nasze lata młode!!

— Chciałeś pan życia, świata, spróbowałeś go, odezwała się Anna, a jednak wzdychasz, nie zapłaciło cię widzę za to, coś dla niego porzucił.

— Kto wie — rzekł, opamiętywając się podczaszyc — może to się tak każdej przeszłości żałuje, zobaczymy później.

— Jeżeli zobaczymy! — dodała smutno Anna.

— Cóż ty z sobą począć myślisz, Anusiul? — zapytał nagle podczaszyc.

— Nic nie myślę, nie wiem co mi Bóg zgotuje.

— Naturalnie pójdziesz teraz zamaż?—uśmiechnął się patrząc jej w oczy.

— Nie wiem, nie chcę.

— Słyszałem, ktoś mi tam mówił, że ci z nieba spadły krocie, jesteś teraz bogata!

— Bogata? nie! ale Bóg łaskaw nie chciał mnie razem doświadczyć sieroctwem i nędzą.

— Z twoją twarzyczką i krociami, łatwo ci będzie teraz znaleźć męża, jakiego zechcesz.

— Ja nie jestem taka łatwa w wyborze, — odpowiedziała z trochę dumy Anusia, — cenię swobodę, a serce... serce zewsząd objęła żaloba i wspomnienia dawne i przywiązanie dawniejsze. — Słów tych domówiła po cichu, Ordyński spojrzał w jej oczy błyszczące i wyrazu pełne.

— Kobiece przywiązanie — rzekł — to pogoda jesienna.

— Jak jakiej kobiety, jak jakie przywiązanie! — urażona odezwała się Anna.

— O! każde! o! wszystkie! — zawołał podczaszc.

Anna zastanowiła się oburzona i gniewna.

— Boś pan jeszcze nie znał żadnej, coby imienia kobiety wartą była! — odpowiedziała z uczuciem.

— Nie gniewaj się, Anusiu, znałem ich wiele i dobrze!

— Im więcej, tem gorzej!

Zamilkli na chwilę.

— Pozwól-że mi pan spytać się także, — odezwała się Anna, — co pan myślisz dalej?

— Ja! nie! nic a nic — odparł podczaszc, ruszając ramionami i spoglądając po fanfarońsku do góry — żyć póki się żyć da, a potem w łeb sobie strzelić, gdy życie się znudzi!

Dreszcz przejął biedną Annę.

— Mój Boże — rzekła z oczyma załzawionemi— gdyby te słowa święta babka wasza usłyszała! ona co w niepokoju o pana umarła, gdyby widzieć mogła do czego dziś doszedł jej wychowaniec, ulubione jej dziecię! a! lepiej! lepiej! że tego nie dożyła!

Podczaszc zdawał się mocno wzruszony.

— Czyż to się godzi spaść tak nisko — kończyła Anna — by z życia zrobić sobie igraszkę tylko... a Bóg? a przyszłość? a obowiązki?

— Stare oklepane powtarzasz mi rzeczy, kochana Anusiu, czy się tam w to Pan Bóg wdaje.

— A! żal mi pana! — zawołała łamiąc ręce, — spójrz pan, łzy mam w oczach. Nic-że już nie potrafi, nawet siła pocziwych wspomnień, wyrwać z tego odrętwienia, z tej dziwnej rozpacz?

— Anno! — rzekł poważnie Ordyński — gdyby to było podobne, gdyby było za co ująć się w pusty sercu mojem, tybyś to może jedna potrafiła! Patrząc na ciebie, odżywa dla mnie wspomnienie młodości, które mnie rozczula i orzeźwia razem — ale nie wróci! — nie wrócić wygnanym do raj! Raz tylko w nim bywa człowiek!

To mówiąc, ścisnął ją za rękę i zniknął, może się chował ze łzami. Anna zasmucona i pocieszona razem, weszła do kościoła, z okiem zwilżonem łzami dawno niewidzianą: przebiegł wschody machinalnie i wpadłszy do swego pokoju, rzucił się na krzesło nie zważając nawet, że w sypialni Julji hałas był ogromny, a niecierpliwa kobieta, krzycząc prawie zwoływała dwór swój cały. Nareszcie sądząc, że podczaszc umyślnie może udawał głuchego, Julja wbiegła osłonięta za ledwie, bosa, z rozpuszczonemi włosami, z twarzą zapaloną i oczyma gniewnemi.

— Co to jest? — zawołała — gdzieś ty był?

Podczaszyc usłyszawszy piskliwy głos jej, dopiero przypomniał sobie niewolę swoją i z przestraszeniem spojrzał na nią.

— Czego chcesz? — spytał zimno.

— Gdzie ty byłeś?

— Na przechadzce.

— Widzieli cię, żegnającego się z jakąś kobietą, z którą chodziłeś po ulicy.

— Bo istotnie z kobietą chodziłem.

— I śmiesz mi to mówić w oczy! to dawna jakaś kochanka! ale poczekaj, kiedy tak, ja ci potrafię odpłacić w dziesięcioro z moimi dawnymi przyjaciółmi!

— Ale cóż ci to w głowie, Juljo! — oburzył się podczaszyc — wszakże nie zaprzeczam i nie zapieram się żem spotkał się, żem rozmawiał z kobietą, to przecie nie zdrada żadna!

— O! o! ja was znam! — zawołała Julia, tupiąc nóżkami, — wszyscyście wy łajdaki, ale ci przysięgam, że drugi raz wylecę sama na ulicę i takiego ci wstydu narobię, a tę gałganicę tak po pyskach wytrzępię, że mi oboje popamiętacie.

Ordyński powstał nagle groźny, z brwią zmarszczoną, drżąc cały.

— Słuchaj-no Juljo — rzekł zdobywając się na flegmę, jeśli mi się poważysz raz jeszcze coś podobnego powiedzieć i taką mi w domu robić burzę...

— No to co? — krzyknęła, przyskakując.

— Każę cię precz lokajom wypędzić! — rzekł Ordyński i usiadł.

— Mnie! ty mnie! lokajom wypędzić! cha! cha! A co to ty myślisz? że ja ci się dam wypędzić? Wiele byś wygrał na tem, a tobym ci życie zjadła! Nie,

kochanku (poczekaj, odpokutujesz ty mi za tę obietnicę) mnie się nie wypędza! Chciałeś mnie, wziąłeś, nie myślę już dłużej z rąk do rąk przechodzić, dobrze mi tu i zostanę. Słyszysz, a jak cię zobaczę z tą kobietą czy z inną, jak mamę kocham, awanturę zrobię!

To mówiąc i widząc, że podczaszyc uparcie zasiępiiony milczy, Julja cała zasapana wyszła do swego pokoju, trzasnąwszy tak drzwiami, aż się cały dom zatrzęsł.

Po tej scenie szkaradnej, Ordyński, jak przykuty w krzesło pozostał, a w długiem dumaniu jego, Bóg wie co przez skołataną przelatywało głowę.

Około drugiej godziny wszedł na palcach cavaliere Fotofero z tą minką z głupia franta, którą często dla podczaszycy przybierał. Wprzód on był u Julji i wiedział już o wszystkim, szedł teraz z gałką oliwną, jako pośrednik do zgody.

— A! al cóż ci takiego, kochany podczaszycu?

— Ha! co? mnie! kto! — budząc się zawołał Ordyński — al to ty? mnie? nic! tak to jestem, jak widzisz szczęśliwy!

Cavaliere dziwnie się skrzywił.

— Wiem! wiem! małeńka kłótnia miłosna! burza po której wam zabłyśnie pojednania pogoda. Pan sobie pozwolił jakiejś rannej wycieczki, pani wyspiegowała niewierność.

Podczaszyc ruszył ramionami.

— Pewnie to było znów *rendez-vous* z piękną Anusią:

— Jakie *rendez-vous*! co ci w głowie! zesłiśmy się przypadkiem w ulicy, przemówiłem słów kilka.

— Ba! ba! znamy to! znamy! Anusi bardzo ładnie w żalobie — dodał cavaliere — podwójnie ła-

dnie, bo i posażek się znalazł co jeszcze jej wdzięki podnosi! Dziś, jutro czern ta zamienić się może na białą ślubną zasłonę; ma słyszeć z pół miliona po stryju i ojcu!

— Tem lepiej! wyswataj-że jej kogo!

— Ba! ba! radbym ale mi się tam nie uda, jest ktoś w serduszku co innych nie puszcza. — Uśmiechnął się. — Jak sobie przypomnę — rzekł — żeś pan ją miał w ręku i puścił dobrodusznie, śmiech mnie bierze!! Istotnie Julja się niesłusznie gniewa: pana i posadzić trudno!!

— Julja poprostu warjatka, jak jej mąż!

— Ale śliczna! nieprawda?

— Na nieszczęście!

— *Venus Praxitela!* drugiej takiej nie ma w Warszawie... to cud doskonałości. Znajdź mi pan chodź jedną wadę kształtów!

— Tak, gdyby serce, gdyby głowa!

— Wszystkiego razem mieć nie można! — rzekł Fotofero, — potrzeba wybierać!

Mówił dłużej jeszcze, usiłując podczaszyca udobruchać i przywieść do zgody, na którą w drugim pokoju czekała piękna Julja, zakławszy się, że ją będzie na klęczkach przeproszał. Ale układy szły oporem; Ordyński ani myślał o przeprosinach i zgodzie. Zmęczony, zrozpaczony, począł wstręt uczuwać do niej... Duma pańska, którą poruszyły miotane grubjańsko obelgi, biła mu krwią do czoła.

Poznał wkrótce Fotofero, że lepiej zostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi, między drzwiami palców nie kładąc, sprowadził rozmowę na inny przedmiot i z sobą razem powiodł podczaszyca do Cerullego.

Julja natychmiast kazała sobie zaprząć karete i drugą stroną ruszyła do księcia Nestora w odwie-

dziny, wiedząc że jej pewnie rad będzie dawny kochanek.

Wśród gry i zabawy Ordyński, jakby coś przeczuwał, ciągle był niespokojny, na myśl mu przychodziła Julja i jej pogrożki, gniew poczynił nim miotać; nareszcie nie wytrzymaawszy długo, wstawszy od stolika, wysliznął się niepostrzeżony i pojechał do domu.

Julji nie było.

— Dokąd pani pojechała? — zapytał.

— Tak pojechała.

— Ale dokąd?

— Nie wiemy! — odpowiedzieli służby.

A był tam między nimi jeden stary, co kawę gotował przedziwnie, i dlatego, aż z Głuszy go sprowadzono, imieniem Maciej, niemogący cierpieć kozła (tak nazywał Julję); ten wzięwszy na fantazję i odwagę rzekł głośno:

— Co to gadać, nie wiem! ot, kazała się wieść do księcia Nestora.

Ordyński zaciął zęby, siadł w fiakra i poleciał za wskazaniem. Miotła nim gniew najokropniejszy, tak, że gdy przed pałacyk przybyli, nie doczekawszy się by fiaker stanął, wyskoczył z niego i wpadł na wschody piorunem, a znając rozporządzenie mieszkania wprost wleciał do gotowalnianego gabinetu księcia, i przezeń do sypialni, nim go ludzie postrzegli i wstrzymać potrafili.

Księżę siedział w szlafroku bogatym, oparty na kanapie, piękną Julję trzymał na kolanach, a twarze ich przychylone ku sobie, uśmiechały się lubieżnie. Na widok Ordyńskiego, Julja klasnęła w ręce i poczęła się śmiać.

— A co? — zawołała — widzisz, jak ja długi płacę!

— Widzę — rzekł zimno podczaszyc, a postrzegłszy, że ksiązę Nestor trochę się zmięszał, dodał:

— Proszę niech mi W. ks. Mość wierzy, że za złe bynajmniej nie mam tego powrotu ku dawnym uczuciom jego dla JMP. Kozłowskiej. Pozwolisz mi tylko ksiązę poprosić się.

— O co?

— Ażeby ta pani pozostała tu, gdzie jej zapewne milej będzie i lepiej, a nie wracała już do mnie. Odeszłę tu natychmiast wszystko co do niej należy.

Nim mu się zebrano odpowiedzieć, Ordyński skłonił się i wyszedł szybko, ale na wschodach dopędziła go Julja.

— Słuchajno! — krzyknęła — co ty sobie żartujesz? ja zaraz do ciebie jadę! to być nie może!

Podczaszyc się ani odezwał, biegł dalej, słysząc, że ksiązę Nestor dobrze drzwi od siebie rygluje.

Krzyczała i groziła piękna Julja, ale wyprzedzając ją Ordyński siadł do swej karety, którą była przyjechała i popędził do domu, surowe tu wydawszy rozkazy, ażeby nie śmiano wpuszczać Julji. Pozamykawszy potem pokoje, klucze oddał Maciejowi, a sam nie czekając przybycia jej, uciekł co najprędzej na powrót do Cerullego.

Cavaliere, który tam siedząc w kątku nie dopatrzył jakoś wyjazdu i powrót dopiero zobaczył, złapał go niespokojny, zaraz w progu poznał po twarzy że coś ważnego stać się musiało.

— Coś ty zrobił? gdzie byłeś?

— U siebie!

— A Julja?

— Julja jeździła na podwieczorek do księcia Nestora, zastałem ją tam w czulej pozycji z dawnym wielbicielem i zostawiłem ich oboje razem. Nie chcę

rozrywać tej pary gołąbków, oddałem mu ją bez pretensji.

Włoch mocno się zasępił.

— Głupstwoś pan zrobił! — rzekł.

— To być może, ale nie pierwszel — odpowiedział podczaszyc.

— Ta kobieta w zemście niepohamowana!

— Więcej mi, jak teraz nie dokuczył! — zawołał Ordyński, i zasiadł do gry.

W chwili, gdy do kart zasiadał, cavaliere mruknął na gospodarza i uprowadził go w kąt sali.

— Słuchaj no — rzekł, zdaje mi się, że pora przyszła dobić podczaszycą, żeby się darmo nie męczył.

De Cerulli uśmiechnął się obojętnie.

— Wiele ci winien?

— Mnie, około dziesięciu tysięcy.

— Na Głuszy, szybko począł Fotofero — jak to wiem przez Lebedzińskiego, jest już długów starych i nowych przeszło trzydzieści, w mieście znajdzie się dziesięć, to uczyni, jeśli się nie mylę, około pięćdziesięciu.

Głusza warta z attynencjami znacznie więcej... on dziś gotów ci grać do koszuli, widzę to przez skórę. Puść się z nim tylko, podforsuj, podpal, a ręczę, że go zgrasz do nitki; zrobimy z nim potem co zechcemy, a przydać się nam może.

— Ba! niewiele! — rzekł Cerulli.

— Mylisz się, szybko dorzucił cavaliere, jest imię, jest jeszcze młodość, jest znajomość świata; nędzą i nałogiem próżniactwa wodzić go będziemy na pasku, i cudzemi rękami żar rozgrzebywać! Ale wprzód, potrzeba, żeby grosza przy duszy nie miał! Wiem, że zechce sobie w początku w łeb wypalić, ale

ja będę miał oko i nie dam mu dopuścić się ostateczności. To słaby dzieciuch!

— A zatem myślisz, że dziś pora? — spytał zadumany de Cerulli.

— Dziś lub nigdy; każ podać wina, sam podpal grę, sam ciągnij, ty to potrafisz lepiej. Patrz tylko, cały drży, byle sto dukatów przegrał, pójdzie dalej, jak po nitce.

To rzekłszy, Fotofero uskoczył w bok, zakaszłał, poszedł do zwierciadła, zakręcił się na sali i kołując zbliżył do krzesła podczaszycy, na którego poręczy poufale się oparł.

— Kochany panie, szepnął cicho, dałbyś dziś grze pokój, jesteś cały sfermentowany! karta ci nie pójdzie, na to potrzeba krwi zimnej.

Ordyński odwrócił się z przymuszonym uśmiechem.

— A cóż będę robił? spytał — to mnie jedno odurza, rozrywa, bawi!

— Przynajmniej graj ostrożnie!

Naprzeciw zjawił się de Cerulli z założonemi rękoma patrząc na bank.

— A! a! coś mi się dziś chce samemu dla rozmaitości pociągnąć! za pozwoleniem, ja bankieruję!

Wziął talję z rąk swego pomocnika, stanął zakasawszy rękawy i w milczeniu poczęło się ciągnięcie. Podczaszyc odrazu postawił grubo, a pierwsze trzy jego stawki nielitościwie grabki do banku ściągnęły... Za czwartą podwoił stawkę i przegrał znowu.

— Ej ostrożnie podczaszycu, szepnął Fotofero — bo przeczuwam, żeś się jeszcze zgrać gotów!

Na to nie było słowa odpowiedzi.

— Pożycz mi pieniędzy! odezwał się po chwili.

— Ja grosza nie mam — rzekł cavaliere, i nie

dałbym, gdybym miał, ale ten łotr de Cerulli gotów ci kredytować wiele zechcesz.

Podczaszyc przychylił się ku bankierowi.

— Możesz mi kredytować? spytał.

— Wiele ci się podoba, kłaniając się, odpowie dział bankier, z obu stron pochwycili kredkę.

Ordyński pięćset czerwonych złotych postawił na kartę.

W sali poczynano wielkie rozciągać się milczenie, gracze mniejsi zajęci znaczną stawką lub wstrzymywali drobne, lub całą na Ordyńskiego zwracali uwagę. Cerulli, jakby chciał umyślnie zniecierpliwic, ciągnął powoli, ale tak powoli, że zdawał się katować umyślnie, rozdrażniać do ostatka, przykrywał przegrywające, osłaniał naprzód wygrane, podwajał nadzieje i strachy. Na ten raz padło plije, podczaszyc się począł odrabiać i domazał do stawki.

— Zmiłuj się! zmiłuj! pomiarkuj, szepnął cavaliere, pomiarkuj twój zapęd, zgrasz się, zgrasz!

Ale Ordyński ani słuchał już przestrogi! Szał gry najstraszniejszy ze wszystkich szatów, jakiemu podobny tylko wyrabia owa gorączka złota kalifornijska, którą dopiero w naszym wieku przyszło poznać na wstyd ludzkości — szał najszałemniejszy opętał go zupełnie. Podniecony do najwyższego stopnia, z gorejącemi policzki, z okiem prawie wyskakującym z głowy, z czołem potem oblanem, leżał na stole przechylony, i dyszał straszliwie.

Widok to był okropny spodłonego człowieka, pijanego namiętnością brudną, nieprzytomnego zupełnie, nieczującego nic, prócz gwałtownie do złota bijącego serca, którego ucho nie usłyszałoby może trąby Archaniola... Takim był w tej chwili Ordyński.

— Panie podczaszycu, szepnął cavaliere, zlituj się, bastuj, zrujnujesz się.

— A co komu do tego! odparł Ordyński głosem chrypliwym.

— Grasz pan dalej? zapytał bankier.

— Gram, jeśli mam kredyt.

Cerulli głowę tylko skłonił.

— Pan mi trzymasz?

— Do ostatka, póki zechcesz!

— A więc do ostatka, śmiejąc się głośno i chwytając szklankę pełną, którą duszkiem wypróżnił, zawołał podczaszyc — do ostatka!!

— Trzymasz pan dziesięć tysięcy dukatów?

— Na Boga! co robisz! zakrzyczał generał, oszalał!

— Oszaleję dopiero gdy przegram — rzekł sucho podczaszyc — no — bankierze!

— Nie trzymaj! zawołali inni, nie trzymaj!

Słowo się rzekło, szepnął de Cerulli, słowo święte, trzymać muszę.

Podczaszyc wysunął kartę zakrytą, ale na ten raz nie długo się męczył, bo w pierwszym pociągu soniko ubitą została — zbladł, zadrżał, ale zaśmiał się Ordyński.

— Ha! — rzekł, jeszcze raz odrabiam się!

— Pan-giniesz!

— Ginę czy nie, oszalałem! mówcie, co chcecie a dajcie mi pokój — konwulsyjnie złamał kartę i rzucał ją w pół stolika — *Mazo*, dodał, stawiam wszystkie mobilia moje w pięciu tysiącach, przyjmujesz pan? I Julia jeszcze darmo, przyjmujesz?

— *Mobilia*, chętnie — za Julję dziękuję — rzekł bankier, kłaniając się, *je sors d'en prendre!*

— Ale czy ci wystarczy fortuny? spytał po cichu cavaliere.

— Nie bój się, pierwszy może raz w życiu rachuję, odparł podczaszyc, nie straci ani grosza! wczoraj

mi Lebedziński przysłał bilans, dokładnie wiem co mam.

Gracze wstrzymali się wszyscy — tak ogromna stawka nie trafiła się już od wieczorów księcia podskarbiego. Cerulli trochę pobladł, usta zaciął, pomyślał chwilę z rąk niepuszczając kart.

— Panowie — rzekł do towarzystwa, odwracając uwagę od talji, którą cisnął w palcach, jakby z niej tajemnicę przyszłości chciał wydusić — biorę ich za świadków, że grać jestem zmuszony, żem do gry nie pobudzał, że ciągnę ze strachem i żalem... pragnę by pan podczaszyc odegrał i dlatego dotrzymuję mu placu.

— Bez perory, bom nie małe dziecko, zawołał gniewnie Ordyński, ciągnij, utnij mi łeb i basta. To mówiąc wstał sparł się dwoma rękami na krawędzi stołu, oczy wlepił w karty, a na twarzy zbladłej znać było, jakby walkę życia ze śmiercią. Drgały w nim wszystkie nerwy, żyłki i ścięgna tak straszliwie, jak gdyby samo życie podpadło jakiemuś wstrząśnieniu, co je zakończyć miało, mrugały nieposłuszne woli powieki i wargi, włos najeżył się na czole.

De Cerulli zaprotestowawszy, pozostał całkiem spokojny, otarł trochę potu z czoła, wygodniej ujął karty, ręce wyciągnął z rękawów, i z wielką przesadą ruchów ciągnąć począł. Chwila to była ciszy uroczystej, a głosy nocy pierwszy raz może dały się słyszeć w sali, której ściany przywykły były do jednostajnych wykrzyków graczy.

Włoch przesunął karty powoli, uważnie, zimno. A że to było jeszcze u początku talji, i assy, jakby umyślnie zbiły się wszystkie ku jej końcowi, długo bardzo czekać musiał zdrętwiały podczaszyc, na rozstrzygnięcie swego losu. Zdawało się, po chwili, jakby skołowaciał, zastygł, stał się posagiem, tak nierucho-

my trzymał się w jednej postawie zwieszony na rękach.

Karta mignęła — przegrana, wszyscy spojrzeli na niego, on jeszcze stał i niedojrzaawszy jej oczekiwał... Oślepił był z wpatrzania się, nie widział nic, podobnie — nareszcie jakby przebudzony ruszył się, obejrzał.

— A co? — spytał, przegrałem.

Nikt nie odpowiedział.

— Wszakżem przegrał?

— Tak jest — rzekł de Cerulli — i od dawna — to mówiąc, wskazał w kartach asa.

— Musiałem, bo przegrać — odparł podczaszyc, obojętnie, — słówko panie de Cerulli, — rzekł, szukając kapelusza, chodźmy do gabinetu, poszlij pan po rejenta, po świadków, uregulujemy ten interes.

— Ale cóż pilnego?

— Nadzwyczaj mi pilno, ja chwili czasu nie mam.

— Do jutra kochany podczaszycu.

— Nie mam jutra, kochany de Cerulli! Posyłaj pan po rejenta, bo będziesz miał kłopot.

To mówiąc, siadłszy w krześle, począł świstać, ale tak przeraźliwym głosem rozległa się ta piosnka w uszach przytomnych, iż niektórym włosy powstały na głowie.

De Cerulli posłuszny, wyprawiał służącego do najbliższego rejenta, którego zbudzić i przywieźć choćby w kołdrze przykazał podczaszyc; a że wypadek ostatniej gry mocno wszystkich poruszył, odeszli poniterujący od stołu. Jednemu pilno było z nowiną wylecieć na miasto, drudzy potrzebowali nagadać się o niej i ułożyć tekst, jaki w kurs urzędownicze, jako świadkowie puścić się czuli obowiązani. Podczaszyc wciąż świstał piosnkę swoją, tak wściekle, że ją słyszał było po całym domu. Blady, jak trup, sparty na łok-

ciu, patrzył w zwierciadło, marzył o czemś i sam tylko może głosu swojego nie słyszał.

Wtemy wybiła dwunasta; wyjął zegarek, spojrzął, pokiwał głową.

— Mój de Cerulli — rzekł — ale ja czasu nie mam, spiesz się, wyjeżdżam zaraz, jadę daleko, przed drogą interesa pokonać trzeba.

Wtem zahurkotało i zaspany rejent z papierami pod pachą, wyciągniony z łóżka tak szybko, że ledwie miał czas narzucić kontusz niezapięty pod szyją żółtą i pomarszczoną, stanął z pokornym ukłonem oglądając się chytrze i niedowierzająco.

Podczaszyc zerwał się, pochwycił go pod rękę i poprowadził do gabinetu.

— Mości rejencie — rzekł, siadaj a pisz żywo.

— *Curente Calama*, J. W. panie... z tegom jest znany...

Spiszesz pan akt sprzedaży dóbr Głuszy z przyległościami na rzecz szlachcica Neapolitańskiego czy jakiego tam, nie wiem, JWP. de Cerulli. Odstępuję mu klucze Głusza, Ordy, Przemęty, w długu...

— Sytuowane? — spytał rejent już poprawując pióro i odkorkowując kałamarzyk.

— W województwie Wołyńskim — JMCi pan de Cerulli bierze na siebie uspokojenie wierzycieli...

Rejent się obejrzał.

— Ale — rzekł.

— Nie ma żadnego ale, — pisz Waćpan a żywo.

To powiedziawszy podczaszyc ręce włożył w kieszenie vesty i poświsztując znów począł chodzić po sali.

— Spiesz panie rejencie.

Tymczasem siwy i szczwany pan rejent temperował wciąż pióro, któremu coraz to więcej nosa ucinął, chcąc się, nim siądzie pisać, dowiedzieć od kogo co to wszystko znaczy, czy niema przymusu, czy nie pi-

jany przedaiacy, lub moralnie znekany czem do tej rezerwacji tak szalenie podvktowanej. Wstał potem, ciałe pod pozorem tego pióra, które na zapas zawsze w podobnych okolicznościach miewał do zepsucia i zyskania czasu przeznaczone — chcąc się do kośo zbliżyć, a gdy się to nie udało, poszedł po wodę do atramentu, po tabake nareszcie i wszedzie szepcząc a rozwiadując się, ody w ostatku wyklarowała się rzecz, usiadł do aktu.

De Cerulli zbliżył się do podczaszycy.

— Kochany Ordvński — rzekł poufale i słodziuchno, chybiasz mi tym pośpiechem.

— Kochany de Cerulli, mówię ci, że mi pilno.

— Ale cóż naoli?

— Diableś bo ciekaw — odparł ruszając ramionami, podczaszyc — daj mi pokój, ty tego nie zrozumiesz.

— A przecie... spróbuimv no!

— Dai mi pokój proszę, kończmv i bvwaj zdrów; oheimuj dom, Julję, dobra, co chcesz i baw się póki stanie ochoty.

— Pan jesteś w jakiejs rozpaczy.

— Rozpaczv? oszalałeś! niódv weselszy nie byłem, ale kończmv. — I znów zaświstał jakąś piosnkę.

Nie było sposobu — domvślano się, że coś ułożył desperackiego, jenerał z kilku innymi postanowili go nie odstępować, bo wszvstkim samobójstwo zdawało się nieuchronne. Ordvński z pod oka spostrzegł narady i uśmiecchnął się do siebie, wziął akt do czytania, podpisał, wezwał świadków i raptem, jakby sobie coś przypomniał:

— Ale! panie rejencie, chcę mieć kopją aktu!

— Jutro?

— Gdzież znowu, dziś natychmiast, nie odejdę

póki mi jej nie dasz! Pisz, a zlituj się żywo bo pierwsza dochodzi.

Usłyszawszy to, wszyscy się stropili, nie pojmując po co by ten akt podczaszycowi był tak potrzebny, on tymczasem korzystając z odwrócenia uwagi i szepków, przechodząc się niby po sali, dopadł drzwi cichaczem i umknął im z przed nosa.

W mieście jak na wielkim cmentarzu, nic jeszcze nie rozbudzało się do życia, aż smutno było patrzeć na te czarne domów zastępy, z których żaden głos się nie dobywał. Podczaszyc przeleciał szybko kilka ulic zawracając się umylnie w różne strony dla obalamowania goniących, których natręctwa się obawiał. Szedł bez kapelusza, bez płaszcza, ubrany lekko, a wybiegłszy na Krakowskie, wsunął się w ciemniejszą jeszcze, pustą Bednarską uliczkę, wiodącą wprost ku Wiśle.

Tu zadyszany zwolnił kroku, założył ręce na piersi, odetchnął, i zamyślony powoli ku mostowi posuwać się począł.

Wzrok jego niekiedy bezwładnie upadał pod nogi, to znów ciekawie przebijał ciemności, jakby w nich widma jakiegoś szukał. Szedł tak czas jakiś, gdy pas jasny wskroś przerzynający uliczkę światłem z małego padającego okienka, zatrzymał go, jak mur nieprzebyty. Podczaszyc szedł z myśla odebrania sobie życia, a dziwnym fenomenem czepiał się teraz wszystkich jego zjawisk, silniej niż kiedykolwiek. On, co nigdy na świat otaczający bacznego nie zwrócił oka, zajmował się wszystkiem, czuł że go wszystko obchodzić powinno. Śledził, jak ludzie żyć i wyżyć mogli, gdy on znekany i obojętny, szedł dobrowolnie rzucić się w wodę i ginąć — byleby dłużej ciężaru nad siłę nie dźwigać.

Ten jasny pas światła oczy jego zwrócił ku oknu i domostwu, z którego wychodził. Oświecone okien-

ko było na dole, skazany na śmierć mimowolnie zbliżył się ku niemu z uśmiechem jakiegoś politowania.

— Co tam goreje? — mówił do siebie — czy blask od kołyski nowonarodzonego co na świat oczy otwiera, czy świece katafalku? pierwsza czy ostatnia boleści godzina? Światło to pracy, czy rozpusty? O, czasu dosyć jest do dnia, nie pilno mi, poczeka woda Wiślana, zobaczymy!

I z założonemi rękoma, jak złodziej skradający się, zbliżył powoli do zakraconego okienka. Było ono wysokie a dość wąskie, okrągłe zasklepione u góry, jak zwykle po starych domach, i nie zaparte okienicą. Strzegła go tylko krata gruba żelazna, dziwacznie ozdobna zgięciami. Przez szyby świeże i powiększone ujrzał zdumiony podczaszyc znany pokoik Anusin. — Serce wstrząsnęło mu się gwałtownie. Los jakby naumyślnie tą strugą światła przedzielił go od śmierci, wskazując na próg nowego życia wspomnienie pocziwszej młodości.

Przy piecu, u którego rozpalonych drzazg łuczywa, grzało się kilka garnuszków, siedziała Anusia z ulubioną sobie kądziałką, której nigdy porzucić nie chciała, bo ją starościna pierwsza prząść nauczyła, sama niekiedy po staroświecku kołowrotkiem się zabawiając.

Anna z towarzyszką swoją śpiewały cichym głosem Godzinki.

Śpiew ten przez szyby przedzierał się zesłably do uszu podczaszycy i poruszał go tak głęboko, tak silnie, jak nigdy żadna arja opery; przypominał mu dzieciństwo jego, babkę, jej ranne modlitwy, i Anusię i Głuszę! Ale z zaschłej żrenicy jeszcze łza nie pocięła; tylko przykuty do ściany stał tak, milczał, patrzył, patrzył aż mu się zdało, że się przeniósł

w czasy młode, że klęczał u nóg staruszki, a ta go błogosławiła do ciężkiego życia.

— Szkoda! — rzekł w duchu — twego błogosławieństwa na tak skalaną głowę, jak moja!

Jam wszystko zmarnował coście mi dali na drogę, wszystko, i błogosławieństwo twoje i cnoty w duszę wszczepione, co czasu nie miały wzrosnąć! Splugawili mnie ludzie dotknięciem, słowem, wejrzeniem, tchnieniem, kobiety uściskami, widok świata niewiarą... Nic nie żądam, nic nie mogę, chyba umrzeć — i umrę!

Chciał odejść, ale oczów nie mógł oderwać od tego ostatniego w życiu obrazu, który go wstrzymał w przechodzie ku śmierci, i przez szyby przyglądał się bladej twarzyczce Anny, smutnej ale spokojnej. W tejże chwili uczuł na piersi gorące dotknięcie jej pierścionka, wiszącego razem z krzyżykiem babki. Zdjął go był z palca znowu.

— Brudna to pierś na której leżycie — rzekł z boleścią — ale was nie zwala, boście czyste, jak złoto — nie rzucę ostatnich pamiątek, niech toną razem ze mną.

— Anno! Anno! — zawołał po cichu odrywając się od okienka — ty nie wiesz i nigdy wiedzieć nie będziesz jakem cię kochał...

Ale to była miłość, której się wstydzilem, jak wszystkiego świętego, com wyniósł z młodości... żegnaj cię modlącą się, wzrokiem tylko... inaczej pożegnać nie mogę! bądź zdrowa Anno! bądź zdrowa!

Gwałtem się oderwał od okna, które go ku sobie ciągnęło, szybszym niż wprzód krokiem idąc, spuścił się ku Wiśle. Niżej, już coraz zimniejsze wiało powietrze; roztoczyło się przed oczyma jego szerokie niebo, po którym różowe płynęły obłoki, i Wisła odbijająca w sobie barwy poranku, tocząca się jasno

i spokojnie gdzieś ku morzom, jak człowiek ku wieczności. Most jak długi zdawał się pusty, gdzieś tylko w mroku skrzypiały koła jadących z daleka wozów.

Ordyński spojrział długo na ten obraz i pospieszył, ranek się zbliżał, a z nim ludzie, tłum, gwar, świadkowie — w ciszy i ciemności trzeba było odegrać ostatni akt dramatu. W początku myślał pójść brzegiem, ale obawiał się by woda nie była za płytką, a on w niej nie był zmuszony brodzić szukając głębin. Że nikogo jeszcze nie widać było na moście, postanowił pójść do środka jego i ztamtąd się dopiero rzucić. Pośpiesznie więc szedł na most i zbliżał się już do miejsca, które sobie w myśli oznaczył, gdy nagle usłyszał za sobą dzwonek, ale tak blisko, że ledwie miał czasu ustąpić nieco, właśnie gdy na poręczy sparty podnosił się by skoczyć w wodę.

A razem głos dobrze mu znany zawołał:

— Człowiecze szalony! co robisz!

O. Spirydjon zakapturzony, w płaszczu, niosący na piersi ostatni pokarm konającemu, ukazał się niespodzianie oczom jego.

Zawstydzony Ordyński, nie miał siły oczu podnieść, ale go poznał starzec i zastanowił się.

Długo przyglądał mu się w milczeniu boleści, oburzenia i rozrzewnienia razem, aż nareszcie wybuchnął:

— Tak! tak! zawołał, jakie życie koniec taki! patrz do czegoś doszedł, do najszkaradniejszej zguby. Sam siebie własnem sumieniem osądziłeś godnym śmierci, sam sobie chciałeś być katem! Ale Bóg ręką bezsilnego starca cię ratuje... czy nie widzisz w tem spotkaniu zrządzenie opatrności??

Ordyński złamany uczuciami których doznał, dotknięty widokiem kapłana, pierwszy raz od śmierci

matki padł na kolana i łzy strumieniem polały mu się z oczów.

— Będziesz żył — rzekł starzec, ale nie dawnem swem życiem, co cię tu przywiodło, nowem, odrodzonym, lepszem — Bóg sam chce tego!

— Żyć, zawołał Ordyński — o! nie mogę już ojczyźnie, nie powinienem; cięży na moich piersiach błoto przeszłości, grzechy i spodlenie — nie mam już tchu na życie, nie czuję sił w sobie, pozwól mi umrzeć!

— Nie, powtórzył kapłan silnie ujmując go za rękę, pójdziesz ze mną do łoża konającego, przypatrzysz się śmierci w całej jej okropności, a stanąwszy u progu, powrócisz do nowego żywota.

To mówiąc, ojciec Spirydjon pociągnął go za sobą, w milczeniu przeszli na Pragę, a tu po nad Wisłą uliczką wąską udali się do małego dworku drwala — w okienku świeciło im się z daleka.

Cicho było dookoła, cicho w wąskiej sionce, gdzie księdza spotkał stary już szpakowaty mężczyzna, klękając przed Zbawicielem którego wnosił do domu.

— Mój ojczy — rzekł całując jego rękę, darujcie mi żem was z tak daleka i pod tę porę wezwał, ale to bieda mnie się uczepiła! Dni kilka temu włóczyło się tu jakieś biedaczysko, czy opętany, czy z zawróconą głową, nie wiem; jakoś mię litość nad nim wzięła, żem mu dał przytulisko, a tu mu się, jak na raz i na śmierć zebrało. Jeszcze by to nic, ale to jakiś nieszczęśliwy co tak ciężko kona, a takie wygaduje rzeczy, że włosy na głowie powstają. Strach mnie wziął żeby pod moim dachem bez Pana Boga nie skończył, a tu inny ksiądz, jak wy, rady mu nie da!

To mówiąc drwal otworzył drzwi alkierzyka i z izdebki przedstawił się im widok straszliwy i przejmujący.

Na garści słomy w kącie, przy świetle kałanka

dogorywającego na półce, leżał człowiek nie stary, ale okropnie wyniszczony. Głowa jego była całkiem z włosów obnażona, twarz także z nich opadła, policzki miał strasznie wychudłe, usta sine i spienione, oczy obłąkane i dzikie. Podczaszyc poznał w nim szalonego męża pięknej Julji.

Na widok księdza porwał się ten kościotrup złoty, zdawał mozolnie zgromadzać myśli, wlepił w niego oczy szklanne, usta otworzył bezzębne, piersi uderzył pięścią ściśnioną i poczęte przekleństwo skończyło na wargach.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł poważnie kapłan — przestępując próg izby.

Kozłowski popatrzał i nic nie odpowiedział.

— Ksiądz! ksiądz! począł szeptać po cichu, to może pocziwy człowiek, zresztą wszyscy szelmy, a najgorsi panowie... ale ksiądz toby powinien być pocziwy?? he??

Podczaszyc na widok tego obłąkania, męczarni i przekleństwa na ustach konającego, uczuł krew ścinającą się w żyłach, bo część ich spadała na niego, bo i on należał do liczby ludzi co temu nieszczęśliwemu skarb jego wydarli i zbezczescili.

O. Spirydjon popatrzał, począł się nad nim modlić, nareszcie przeżegnał obłąkanego, a siłą krzyża tego, jakby cudem uspokoił się nieszczęśliwy, głowę pochylił na piersi, oczy przymknął, zdawało mu się, że na chwilę usnął i przebudził zaraz oprzytomniony; oczy jego jaśniej teraz patrzyły, wzrok chodził rozważnie po przybytych, ukląkł, złożył ręce, począł płakać rzewnie i modlić się.

Łzy jakby długo wstrzymywane puściły się teraz z otwartych źrenic strumieniem wezbranym.

Podczaszyc świadek tego cudu dokonanego modlitwą, uczuł świętość człowieka co umiał go uprosić

u Boga, i cofnął się z uszanowaniem, bo ujrzał oczyma swemi to w co nie wierzył nigdy — dotknął się cudu, widocznie objawiła mu się siła Boża.

Kozłowski przestał być obłąkanym, był nieszczęśliwym tylko, który po długim śnie szaleństwa budzi się z całą pamięcią przeszłości.

Przyszedł do nóg kapłana o spowiedź i przebaczenie grzechów go prosząc.

Ustąpili więc wszyscy, a z nimi i przejęty podczaszyc, drzwi alkierza się przymknęły, a uratowany od śmierci zasiadł zaproszony przez drwała w ubogiej jego chacie. Uderzył go teraz i widok życia ubogich, bo on także na nowo miał rozpocząć żywot pracy i niedostatku, począł się rozglądać po czystej izdebce w której znać było ład, spokój i jednostajny bieg godzin w pocie czoła zarobionym podsycanych chlebem. Proste ławy, stół sosnowy, obrazy świętych po ścianach, kolebka dziecięcia, łożo starej matki, warsztat tkacki, narzędzia drwała, ustawione były z pewnem uczuciem porządku i wdzięku. A wśród nich tu i owdzie religijne wspomnienia, serdeczne pamiątki, wpięły palmę błogosławieństwa, wianuszek święcony i zwiedłą wiązaną ślubną. Na wydatnem miejscu wisiał krzyż czarny, na ścianach białą kredą wypisane nie zgrabnie, świeciły się poważne daty urodzin i śmierci.

Wszystkiem razem była ta izba uboga: sypialnia, warsztat, jadalnia i gościnna komnata, a jednak wystarczała na wszystko. Przez wielkie ubóstwo nie mniejsze przeglądało szczęście.

— Żyją! myślał Ordyński, żyją, śpiewają, są szczęśliwi i jeszcze umieją drugim świadczyć i wspomagać!

Pierwszy to raz ta myśl, że żyć można ubogim, przeszła mu przez głowę, zastanowił się, westchnął

i choć długie próżnowanie wstrętem go nabawiało do pracy i umartwień, znużenie kazało mu szukać nowych uczuć chociażby połączonych z cierpieniem. Osłabłem, zemglonem okiem poglądał na ściany izby, rozświecone migotliwem lampy świetelkiem i tak dumając spoczywał na ławie, póki ks. Spirydjon znów drzwi alkierza nie kazał otworzyć. Na dźwięk dzwonka zwiastujący, że Chrystus jednemu z ludzi się udziela, pobiegli wszyscy pokleknąć w sieni, poszedł i Ordyński. Kozłowski klęczał na słomie, zupełnie uspokojony i przygotowany do podróży ze świata.

— Dziecię moje — rzekł do niego zbliżając się po zwykłej modlitwie kapłan, rozgrzeszenie ci dałem, ale pamiętaj, że trzeba z serca głębi, szczerze i na zawsze wszystko i wszystkim przebaczyć, jak Chrystus tym co go męczyli.

— I jej? — odezwał się po cichu Kozłowski.

— I jemu! — dodał ksiądz — i wszystkim! Na Boga złóż karę... bo oto dziś właśnie, w chwili może gdyś ty konający przebaczył, osadził go świat i poniżył w proch i hańbę rzucając na wieki! Przebacz mu!

— Niech mu tak Bóg przebaczy, jak ja mu daruję — rzekł słabo Kozłowski — tak, wszystko, nędzę, poniewierkę! nieszczęście moje! i spodlenie jej nawet! — To mówiąc zapłakał.

Spełnił się obrzęd ostatni, tak uroczysty i przenikający, obrzęd pożegnania ze światem, wyboru w drogę wieczności. Kozłowski pochylił się znużony, zamknął oczy, przytulił się do ściany i zaraz usypiać począł.

— Wyjdźmy! — rzekł ks. Spirydjon.

U drwała pożyczyl zakonnik oponczy i czapki dla podczaszyca, który, że już poczynano się rozwidniać, w stroju swym do miasta, nie zwracając oczu

powracać nie mógł. Ruszyli oba przez most ku Warszawie.

Szarzeń już dobrze poczynano, wschód co raz jaśniejsze oblewały blaski, mgła jeszcze kłębiła się nad rzeką, a poranek przenikającym wiał chłodem. Na drodze zaledwie wozy na targ idące i wieśniacy okoliczni ruszać się poczynali — część jej stała pustką jeszcze. W dali tylko dziwny jakiś szereg powozów jeden za drugim powolnie idących, otoczonych wojskiem, którego kupka poprzedzała i zamykała pochód — posuwał się od strony miasta. Podczaszyca pierwszy rozpoznał kilkadziesiąt karet posępnie jakby za pogrzebem postępujących, z których żaden głos, żaden objaw życia się nie dobywał. Było coś dziwnie uderzającego w tej rannej kalwakacie wojska i powozów, w głuchem, posępnem milczeniu wyslizgujących się z Warszawy; a ponure, gniewne, blade lub szaleńczo dzikim ożywione twarze, które z za szkieł karrecianych migały poprawne w fryzury, i nie dając się poznać znikwały — nosiły na sobie piętna żałoby, gniewu, upokorzenia i złości.

— Patrz — odezwał się stając kapucyn — oto idzie sprawiedliwość Boża!... późna, ale niechybna, karząca jednych by ustraszyła drugich. Widzisz tę postać bladą, na której takie cierpienie, taka szatańska duma i zemsty pragnienie widzieć się dają razem... to sprawca nędzy i śmierci tego nieszczęśliwego, który wszystkim konając i jemu nawet przebaczyć potrafił. Wczoraj dekret sejmowy, dekret podpisany ręką przyjaciół, od czci i wiary go odsadził. To jeden z pierwszych państwa dygnitarzy, co dał przykład zepsucia i szkarady, zmuszony wśród nocy uciekać z miasta, co go radośnie przed rokiem witało... to człowiek nie więcej winien od innych w życiu publicznem, bo był tylko narzędziem, ale winien wobec społeczeństwa, jako przykład wszelkiego złego i bez-

wstydu... Uchyl głowę z pokorą przed sądem Bożym i nie patrz nań byś mu nie dodał boleści, bo kto urąga upadłym, ten sam upadku blizki...

I w ciszy przeszli, mijając ten szereg pogrzebowy, stępa przejeżdżający powolnie, jakby się lękał rozbudzić szelestem ludzi od których uciekał.

Smutny to był zaprawdę widok, tem smutniejszy, że i w tej chwili nie uczuwszy spodlenia swego, wygnaniec od czci odsądzony, jechał balować z przyjaciółmi jeszcze, tak jak dni następnych, balował przy pełnych kielichach w Chrzanowie i Powązkach.

Podczaszyc z O. Spirydjonem wszedł do klasztoru, do tej samej celi, w której już przebył tyle dni zmęczenia, niecierpliwości, niepokoju. Właśnie w chwili gdy się za nim zamykała furta, ujrzał w ulicy zdala stojącego cavaliere Fotofero, który niskim ukłonem szydersko go zęgnął, od śmiechu za boki się trzymając. Mignął mu on tylko i znikł z oczów.

XIII.

Różne nazajutrz wieści chodziły o losie podczaszyca. Rozpowiadano z wybornemi dodatkami, jak na zabawie u de Cerulli, przegrał po szalonym miljon, jak potem świstał, śpiewał, pił, wydarł się pilnującym przyjaciółom i zniknął. Domyślali się niektórzy, że w wodę gdzieś rzucić się musiał, drudzy utrzymywali, że się na Bielanach powiesił, inni, że zaszedłszy na cmentarz Powązkowski w łeb sobie strzelił. Chciwie oczekiwano wynalezienia nieboszczyka, gdyż nikt już o śmierci nie powątpiewał, sporem był tylko rodzaj jaki obrał sobie.

De Cerulli, z mocy aktu urzędowego, zajął zaraz nazajutrz dom i ruchomości po podczaszycu i zdziwił się nie pomału, gdy upartą Julję zastał śpiącą w salo-

nie na kanapie; przebudzona, spytała go zaraz o podczaszycę.

Cerulli machnął ręką w milczeniu.

— A ty tu co robisz? — spytała.

— Ja zabieram moje... Ordyński mi wszystko przegrał.

— A! lotr! — krzyknęła Julja — patrzcie zgubił mnie... znowu trzeba iść szukać innego! Ale cóż się z nim stało?

— Utopił się, powiesił, czy zastrzelił! — rzekł zimno Włoch.

— Gałgan! ale ty mnie teraz weźmiesz! musisz mnie wziąć, choć cierpieć cię nie mogę.

— Brać waćpanią, oho! nie myślę!

— Albo ja się pytać będę?

— Ze mną to nie z Ordyńskim—zawołał Włoch, ruszając ramionami — dajmy sobie pokój, znamy się dosyć.

To mówiąc, poszedł do dalszych pokojów nie zważając na rzucanie się gniewne kobiety, która mu pięść pokazywała.

Najwymowniejszą pogrzebową oracją Ordyńskie-go były przekleństwa Julji, która wyłajawszy jeszcze Włocha, zabrała się z czem mogła i pojechała do ks. Nestora. Tu także drzwi zastała zamknięte i musiała szukać dachu, pod którym by za miły grosz spoczęła.

Dano zaraz znać sztafetą Liebiedzińskiemu o losie jego pryncypała. Plenipotent pospieszył pocztą do Warszawy, pewien ze wszystkimi, że Ordyński nie żyje, i nie bardzo go podobno myśląc oplakiwać. Doskonałą zaraz ułożył on sobie, jak to wówczas zwano, plantę nabycia całej majątności. Miał sam trochę grosza, zastawnicy i wierzyciele jeśli nie jemu to for-

tunie czekać mogli, chodziło tylko o ugłaskanie Włocha.

Stanęli przeciw sobie dwaj godni ze wszech miar zapaśnicy: awanturnik zimny, przewrotny i grosza chciwy, ze zręcznym jurystą, oba wiedząc, że się oszukać pragną, i oba ufni w siły swoje.

De Cerulli miał tę wyższość nad plenipotentem, że oprócz sumy na Głuszy i prawa do niej, mógł jeszcze sypnąć w potrzebie, ale Lebedziński znał lepiej miejscowe interesa i w pokątne ufał stosunki. Cudzoziemiec, dla którego od czasu przybycia tyle łatwych płynęło w Polsce korzyści, protegowany, mnóstwo w wyższej sferze mający związków, myślał nabyć dobra, indygenat zapłacić i osiedlić się tu na zawsze.

Przyznanie szlachectwa byłoby poszło najłatwiej, gdyż właśnie wówczas szlachcono po pięćset czerwonych złotych od głowy mieszczan i kupców, i sypano indygenatami, jak z rękawa.

Partja przeciwna przygotowanej uchwale, która miasta i mieszczan do praw obywatelstwa przywołać miała, sądząc fałszywie, że uszlachcenie tych, których za głowy mieszczańskiego ruchu miano, odejmie temu stronnictwu siłę, szafowała przywilejami. Tak otrzymali na ówczas nobilitacje i indygenaty: Tepper, Schulz, Blank, Cabre, Arendt, Kapostas i mnóstwo innych.

Mógł obok nich stanąć ze swoim tytułem i paragaminami świeżemi i pan de Cerulli.

Lebedziński widział trudności zadania, ale jak każdy przywykły zwyciężyć, podbudzał się jeszcze przeszkodami, które go jątrzyły. Przyjechał, dobrze się w drodze namysliwszy, i wszedł do Cerullego udając doskonale człowieka tak zmęczonego, zbitego, utrapionego, a tak potulnego i maluczkiego, że Włoch

popatrzywszy na sławnego jurystę, kazawszy mu na-przód wina dać na orzeźwienie, był już pewien, że go odrazu połknie.

Jurysta dziękował, kłaniał się i ogromnie wzdychał.

— Mówmy-no o interesach — rzekł Włoch nie spuszczaając go z oka i podsuwając mu akt — co pan na to?

Prawnik spojrział, przeczytał, węża podniósł, rozśmiał się jakby z radości, ręce zatarł i rzekł:

— Chwała Bogu, że tak jest!

— Jakiż tam stan majątku?

— Może pan nie zechcesz wierzyć gdy mu powiem, ale spójrz pan na mnie com z Warszawy wyjechał zdrów, wesół i rzeźwy, a pomiarkujesz, że to co mnie tak złamało, lada czem być nie może.

Cerulli zamilczał.

Wierzyтели chmary, bandy, émy, wojska! zastawnicy, procesa, chaos! chaos! ani się z tego wyplatać! — Dzięki Bogu że się od tego uwolnię!

— A ba! — rzekł raptem wstając Włoch — grajmy na odkryte, panie Lebedziński, na co nam tu komedje. Jasna rzecz, że pan mnie chcesz odstręczyć i obalamucić! Kto wie! może sam na Głuszę ostrzysz zęby? ot lepiej się nie kaleczmy, a waćpan na co innego się zachowaj i dajmy sobie ręce.

Lebedziński, który był pewien, że gra komedję doskonale, osłupiał, stanął i po chwili pomiarkowawszy się, że darmo z tej beczki próbować, rozśmiał się przyznając prawie do odgadniętych intencji.

Siedli więc na kanapie w najlepszej przyjaźni, ujęli pod ręce, ale nie rzucając myśli podejsia i oszukiwania jeśli się uda. Lebedziński łatwo za pewny datek odstąpił od swych planów na Głuszę, nazwawszy to porękawicznem, i z udaną otwartością dodał:

— Teraz już najszczerzej pozwól się pan przestrzec, (nie myślę go karmić strachami) że Głusza wcale nie dla cudzoziemca nie znającego praw i form naszych! Pan jeszcze pojęcia nie masz czym u nas może być proces, w którym wmięszać się dają i patriotyzm i nienawiść obcych przybyszów i polityka i wszystkie ingredjencje, któremi go zaprawić można!

Najlepiej, kupiwszy sprzedaj to pan komu, zarobić można, a sobie nabądź co spokojniejszego, tam się zagryźć najłatwiej.

Ale Włoch nie w ciemnię bity, odpowiedział obojętnie:

— Na to są adwokaci, juryści, a wreszcie i pieniądze i stosunki w trybunałach, i popularność łatwo się nabywająca u szlachty! No! no! nie tak straszny djabeł, jak go malują! a naprzód pańską sobie łaskawą pomoc zapewnić muszę!

Skromnie skłonił się Lebedziński, ale skrzywił się trochę widząc złapanym, rozrachował był bowiem, że ustępując Włochowi z drogi łatwo i tanio, przekona go, iż się istotnie boi nabycia i nie dba o nie, że go potem tak nastraszy tem co go czeka, iż Cerulli napraszać mu się sam będzie z majątkiem, a on go tanio pochwyci... Ale ta budowa słabo na pierwszych fundamentach wystawiona, runęła zaraz własnym ciężarem; Włoch ustraszyć się nie dawał, rozeszli się kwaśno, nieufnie, a jurysta przysięgł cyganowi, jak go nazywał, sadła zalać za skórę.

Tak, gdy jeden drugiemu przeszkadzał, oba do Głuszy się nie dopuszczali, a majątek pozostał między nimi bezpieczny. Jurysta rzuciwszy potajemną żagiew między zastawników i wierzycieli, zagroził drogę Cerullemu, któremu przez swoich, w kancelarji nawet indygenat utrudnił.

Rzuciwszy więc Głuszę, wróćmy do podczaszyca,

do którego wieczorem wszedł, wypocząć mu dawszy, z wesołem obliczem pocziwy kapucyn.

— Teraz dziecię moje — rzekł, żyjąc tabaki — jesteśmy dzięki Bogu na dobrej drodze, naradźmy się co masz czynić byś szacunek swój, świata, a co największa, łaskę Bożą odzyskał.

— Ty mi to poradź ojcie — odpowiedział podczaszyca. — Smutnie doświadczyłem, że woli własnej nie umiem dać kierunku, przyznam się, że dziś nawet, chodząc się tu przywieść dałem, jak posłuszne dziecię, nie mam odwagi spojrzeć na przyszłość — głowa mi się zawraca. Co począć mogę? skalany, wyśmiany, może okrzyczany tchórzem, bom śmierci nawet zarzecz w oczy nie umiał... bez majątku i sam... i sierota!...

— Słuchaj — rzekł kapłan powoli — wszystko to tak ci się dziś strasznie widzi, żeś miał majątek, imię, młodość, wziętość, szacunek, i — stracił. Ależ i inni zaczynają z niczego i dopracowują się pięknej przyszłości, dla czegoż i ty nie miałbyś pójść śmiało zarabiać na nią w pocie czoła, obmyć się z brudów, krwią może być i twórcą własnego losu? Jesteś istotnie tak słabym, że cię nawet ubóstwo zastrasza?

— Ale ojcie, ubóstwo to jeszcze coś, a ja nie mam — nic! nic!

— Na początek coś ci znajdziemy, głowy o to nie łam.

— Więc pójdę... skryję się gdzieś daleko, na wsi, gdzie ludzkie nie znajdzie mnie oko i pracować będę na zagonie.

— Byłoby to bardzo dobrze — odparł kapucyn — gdyby twoja praca na zagonie przydać się na co mogła; aleś ty nie dla niej, ona nie dla ciebie. Masz w żyłach krew rycerską, choć zgnuśniała, czemuż byś w takiej chwili, gdy ojczyzna o ratunek woła nie po-

szedł do wojska? Zewsząd ciśnie się młodzież. Nie pomyślałeś o tem?

Podczaszyc mocno zawstydzony spuścił oczy.

— Łatwo by mi było — rzekł z cicha — otrzymać od króla regiment, a z czegoż go wysztyftować?

— Nie o regiment ani o rangę tu braciszku chodzi, — przerwał ksiądz, niech tam paniczekowie i fircyki stają na czele regimentów, to nie służba! Wejdziesz waćpan, jak żołnierz, szlachcic wprost w szeregi, nie na żart, nie dla szlify, a popisz się gdy do czego przyjdzie, ot czego chcę i co radzę!

Ogień z jakim to wyrzekł staruszek, zagrzał przecie serce podczaszyca, który ściskając dłoń jego odezwał się:

— Uczynię tak — pojedę i będę służyć prostym żołnierzem, dopóki krwią nie obmyję brudów przeszłego życia.

— Może też Bóg — rzekł kapłan — tej ofiary krwi wymagać od ciebie nie będzie, choć! ty mnie nie pojmujesz!... nie — ale krew ma tajemniczą siłę zmywania plam z duszy. Może Bóg przyjmie twą ofiarę nie pociągając cię do niej, a tobie posłuży, o! posłuży hartowniejsze życie w obozie, pod namiotem, w niewygodach i pracy.

Jeszcze dni kilka — spoczywaj, myśl, żałuj, przygotuj się modlitwą do spowiedzi, a potem kochanku — weselej dokończył ksiądz — wyprawię cię z krzyżem świętym do generała Madalińskiego, mego starego przyjaciela! i hulaj dusza z szabelką, to dopiero zobaczysz życie!

Rozśmiał się ks. Spirydjon, wyprostował, ale tuż widać habit przypomniawszy, spuścił ogoloną głowę.

Po chwili obojętniejszej rozmowy, staruszek rozpromieniony, że duszę jedną ze szpon czarta Bóg mu wyrwać tak cudownie dozwolił, wyszedł wezwany na

miasto, i późno już mimo dworku Anny przechodząc, wstąpił do niej na minutkę.

Zastał biedną we łzach, bezprzytomną prawie, klęczącą na ziemi, ktoś bowiem ze znajomych wpadł do niej z wieścią dziwacznie przerobioną, o grze nieszczęśliwej i śmierci podczaszyca, o znalezieniu jego ciała i t. p.

— Co to jest? co to jest? — spytał na progu kapucyn.

— Ojcie, ty przychodzisz do mnie z pociechą, ale jej dla mnie już nie ma! on zginął!

— Kto? co? kiedy?

— Michał się utopił!

— To fałsz! — zawołał stary — nieprawda!

— Nic nie wiesz chyba ojcie! a ja ci powiedzieć nie mogę, przegrał ostatek! rozpacz go ogarnęła a czemuż nie przyszedł do mnie, byłabym mu choć na tę grę nieszczęsną wszystko do ostatniego oddała pierścionka! niechby żył, ja bym miała — choć nadzieję!

— Miejże nadzieję, bo on żyje! — rzekł O. Spirydjon.

Anna zdumiona spojrzała na niego niedowierzając.

— To być nie może!

— Jaktóż to już i mnie nie wierzysz? upamiętaj się! Michał Ordyński w klasztorze u nas od rana.

Porwała się Anna z ziemi i cała zdyszana, śmiejąc się, wołając Wąchorskiej, krzycząc prawie podbiegła do staruszka.

— A jakże się to stało? mów mój zbawco, niech wiem, niech słyszę!

Kapucyn opowiedział jej ranną swoją pielgrzymkę, spotkanie na moście i ocalenie podczaszyca. Chciwie słuchając opowiadania, chwytając każde jego słowo

wo, Anna milczała i modliła się. Gdy powtórzył jej wreszcie co mu podczaszyc, powracając o swem u okna Anusi zastanowieniu się opowiadał, cała wzruszona porwała się z ławy.

— A możeż to być! — zawołała — prawdaż to? on to był pod oknem i zęgnął mnie przed śmiercią! a serce moje ani zabiło, ani przeczuło, ani mi o nim powiedziało!

Ksiądz mówił dalej, przytaczając treść ostatniej z nim rozmowy, a Anna z wyrzutem prawie spojrzała na niego.

— Ojcie — rzekła — oddam, co tylko mam, by mu powrócić choć część tego, co utracił, zostanę ubogą, jakim przywykła, wesoło pocznę pracować! On niech powraca z tego przekłętogo miasta do Głuszy. Nie przywykł do niewygód, do ostrego życia! to niepodobna.

— Powoli, powoli, moje dziecko — odpowiedział stary przyjaciel — źle byś zrobiła oddając mu teraz majątek, byłoby to narzędziem zguby, potrzeba by przeszedł szkołę nieszczęścia, poświęceń i pracy.

— A jeśli zginie? — łamiąc ręce krzyknęła Anna.

— Nie lękaj się, nie lękaj, dziecko moje; Bóg usłucha czystych modlitw twoich, on nie zginie, niech jedzie, służy, walczy, a gdy wart będzie szczęścia i spoczynku, naówczas znajdzie oboje...

To mówiąc uśmiechał się staruszek i błogosławiąc Annę szepnął jej na ucho:

— Waćpanna mu dasz sto czerwonych złotych na drogę, ani grosza więcej, to powinno wystarczyć.

— Tysiąc, wszystko!

— Sto — i to wiele! ani jednym więcej.

— I ja go widzieć nie będę? — spytała Anna ledwie śmiejąc po cichutku, to pragnienie wymówić.

— Kto wie? serce mu zapewne powie, żeby tu zajął przed odjazdem, a ja się sprzeciwiać nie będę.

— A jeśli serce nie powie?

— Wszakże zatrzymał się u okna, idąc na śmierć, a to światło, co waszej przyświecało modlitwie wprzód go i skuteczniej może wstrzymało, niż słowa moje! Kto wie? może gdyby tu nie czuł się winnym i skruszonym, tamby mi ocalić się nie dał! Miej więc waćpana nadzieję, przyjdzie na pożegnanie pewnie, a jak powróci... jak powróci!!

To mówiąc pokiwał głową, Anna zarumieniła się, skryła twarz w rękę i ciche — nie! o! nie! z ust się jej wyrwało. Kapucyn wyszedł powoli.

XIV.

W kilka lat po opisanych wypadkach, wstrząsł się kraj cały jakimś konwulsyjnym ruchem, zmieniła fizjonomja stolicy i przetworzyli ludzie... Po czteroletnim sejmie, po reformach jego, które radykalnie uleczyć miały a rozwinać się nawet nie mogły, po założeniu kościoła Opatrzności z obrzędem, w którego obchodach brzmiało już z niebios jakieś złowrogie proroctwo — ostatni wysiłek poruszył do dna wnętrzości całego kraju.

Warszawa przedstawiała straszliwy widok stolicy oczekującej tylko niemal przewidzianego podboju i krwawej za krew zemsty. Wśród tłumów walczących jeszcze, jeszcze powierzających się losom boju, stał król, który nic nie widział prócz upadku, i zdawał się go z zimną oczekiwać obojętnością. W ciągu tych lat kilku zestarzał się, pochylił prawie, a uśmiech już na ustach był niewidzanym gościem — one już smaku potraw bez assafetidy poczuć nie mogły, jak dusza nie

czuła walących się na nią nieszczęść ogromu. Ze zwieszoną głową, jak ofiara szedł obojętny, gdzie wiatry powiały, pewien, że przeznaczeń, które jak Kassandra zawczasu wyśpiewał, nic przebłagać nie potrafi. Skarby sztuki, które zgromadził, świat, co jeszcze wdzięczył się do obłamanej jego korony, ludzie co mu pochlebiali dla ostatniej garstki złota, nic go, nic rozmarzyć nie umiało. Poddawał się wszystkim z kolei, robił co tylko chciano, potakiwał każdemu — wszyscy i wszystko mu było równem.

W kilku dniach twogi stracił resztkę sił jakie z życia pozostały... teraz obawiał się już szelestu, rozmowy, silniejszego uczucia, a żaden z tych co się zwali poddanymi jego, mniej nadeń, nie był panem siebie. Obumarły, dożywał resztek z obojętnością człowieka, który w nic prócz w fatalność nie wierzy.

Ryx, Baciarelli, Byszewski, wszyscy dworacy i faworyci próżno szukali sposobów dźwignięcia go z tego upadku; uśmiechał się ruszając ramionami, ale na wszystko zimny był, jak trup wyjęty z trumny.

Obok zamku w którym dożywał Stanisław August, miasto wrzało jeszcze trwogą i nadzieją, a stolica, okolice jej i wnętrze militarną miały postać.

Było to w październiku, w roku tym jesień słotna i chłodna gorzej dokuczała od zimy, bruki miejskie płukał deszcz drobny a gęsty, chmury szare powlekały niebo jednolitemi płachtami swemi bez barwy i zarysów, wiatr pociągał z zachodu i smutno było jakoś na świecie. W mieście pustka, rzadki fiakr stał na placu, lub przewlekał się nogą za nogą, rzadszy powóz zatętniał żywiej po bruku, a przechodniów prawie nie widać było.

W mieszkaniu prezydenta Zakrzewskiego kilka osób zebrało się na wieczór, który dla wielu z nich

miał być pożegnaniem na długo, choć nikt z nich jutra nie przeczuwał.

W pięknej salce, u komina płonącego jasnym i ożywiającym ogniem, ścisnęła się tu garstka mężczyzn w fantazyjnych mundurach owej epoki, lub cywilnych strojach francuskich. W pośród nich nie wielkiego wzrostu ale silnie zbudowany, oryginalnych rysów twarzy, nacechowanych wyrazem energii, w prostej szarej sukmance zielonemi oszytej sznurkami, stał wódz naczelny. Na pierwszy rzut oka niepozorny i niknący w tej kupce arystokratyczniejszych postaci, przy wpatrzeniu się pociągał ku sobie jakimś znamieniem ludzi do wyższych powołanych losów. W oczach niespokojnych i gorących, w ustach i na czole miał piętna władzy, sławy i nieszczęścia. Dnia tego chmura jakaś zawisła nad czołem jego, usta ścisnęły się mimowolnie, patrzył w posadzkę, zamyślał i usiłując być wesół, jeszcze wyraźniej okazywał się przejętym, niespokojnym. Zaledwie dwie czy trzy przytomne tu osoby wiedziały z nim razem, że się już generał Fersen potrafił przeprawić przez Wisłę, a Poniński go trafem, nieopatrznością czy wolą losu fatalną przepuścił. Nikt też prawie nie wiedział, że o świecie wódz naczelny postanowił opuścić stolicę i sam stanąć na czele szczupłej garstki, do której wątpiono by się w porę potrafił przyłączyć Poniński.

Obok wodza stali, pięknych i odznaczających się rysów twarzy marszałek Potocki, Mostowski, Kochanowski, podkanclerzy Kołłataj, gospodarz domu, młody N... w wojskowym mundurze i przybyły do wojska z depeszą znany nam Ordyński, którego wszakże trudno dziś było poznać... Kilka lat pracy, zmęniło go, uszlachetniło i odmłodziło razem, zdawało się, że podrośł, spoteźniał i skąpany w znoju stał się nowym człowiekiem. Biała niegdyś i zmęczona twarz jego,

powlokła się barwą, tak dobrze zdobiącą męczyznę którą nadają wiatr i słońce, oczy odzyskały ogień, usta rumianość, czoło wyraz spokoju i myśli. Wojskowy ubiór przystawał mu wybornie i nikt by się dziś w nim nie domyślał hulaki, który nie dawno tracił dnie i noce w bezmyślnem i osłabiającem próżnowaniu. Znać było że w tej piersi pokrytej mundurem, inaczej teraz, żywiej a spokojniej bić musiało serce, drugą odzyskawszy młodość.

Pomimo pozornej wesołości, którą wzajemnie ducha sobie usiłowali dodać przytomni, nikt z nich w istocie wesół nie był, wszystkich uciskało jakieś niepojęte przecucie, ta woń przyszłości, która ją zawsze poprzedza. Wódz mówił o rzeczach obojętnych, ale co chwila zaczynał o sprawę publiczną, inni dodawali coś każdy do wieści ogólnych — przyniesione z ulicy wiadomości, domysły, przypuszczenia, nadzieje lub przestrazy. Nie brakło w powietrzu krążących skrzydlatych nowin, co często zgadują przyszłość tajemniczym i niepojętym sposobem. Jedni już sprzymierzonych widzieli pod Warszawą, drudzy ich wstrzymywali różnemi środkami, a oczy i nadzieje wszystkich zwracały się na siwą sukmankę, pod którą ostatnie biło serce.

Ordyński stał, słuchał i wzdychał niekiedy, na pytania tylko o wojsku mu zadawane, odpowiadając krótkimi słowy. Na chwilę przed wieczrą, ks. podkanclerzy zaszedł niby przypadkiem z wodzem naczelnym do drugiego pokoju, i przez minut kilka naście pozostał z nim na cichej rozmowie. Wyszli oba nie weseli, a tu i do stołu oznajmiono. Usiedli wszyscy do wieczery.

N... miał właśnie dnia tego na palcu etrusyjski pierścień, wystawiający na pięknym agat-onyxie rannego żołnierza, spartego na puklerzu. Siedział on

przy marszałku Potockim, który ten pierścień spozstrzegłszy, prosił, żeby mu się dał przypatrzeć i nieźmiernie chwalić go poczał.

— Weź go marszałku — rzekł N... z uśmiechem nieznacznym, spoglądając na wodza i Zajączka — dla mnie, dziś żołnierza, złej to wróżby rzecz, nosić się jej boję...

— Ale mój panie, — odpowiedział, opierając się trochę marszałek, — chyba co w zamian odemnie przyjmiesz, to dar zbyt kosztowny.

— Nic nie chcę, — rzekł brześcianin — tymczasem go zatrzymaj, panie marszałku, oddasz mi, jak się, da Bóg, zobaczym. Pierścień ten z rannym żołnierzem, podawany z rąk do rąk, zakończył niewesołą wieczrę, a choć wzmianka złowroga była całkiem przypadkową, kilka czoł pochmurniało, N... westchnął.

Napróżno Zakrzewski prosił, zatrzymywał, usiłował gości swych rozchmurzyć, wódz naczelnny, z nim Zajączek, Kollataj, N... i wezwany Ordyński wyszli zaraz po wieczery. Ordyńskiego wieczorem przybyłego z depeszami, nie puszczając od siebie, bo się młodości jego obawiał i słów, które by mu się wymknąć mogły, zabrał z sobą wódz do głównej kwatery, naówczas w Mokotowie będącej, powierzając mu rozpisanie rozkazów i listów, które w nocy przygotować miano. Musiał więc, niezajrzawszy nawet do dworku Anusi, spełniając rozkaz, iść z sercem bijącym za wodzem, a nazajutrz o świcie spieścić z nim razem na pole walki.

Noc upłynęła szybko; o piątej, nie tknąwszy łózka, wszyscy już byli na koniach, wódz w siwej sukmanie na przodzie. Zajączek, który po nim obejmował dowództwo stolicy, w milczeniu posępem

odprowadził ich do mostu i okiem pożegnał odchodzących.

Cały dzień zszedł na szybkiej podróży bez chwili wypoczynku. Trudno tam było rozpoznać wodza w tym maleńkim prostą opończą okrytym jeźdźcu, który gnał zamyślony na mizernej chłopskiej szkapie, z oczyma, utkwionemi gdzieś w niedojrzałą przyszłość. Co wioska potrzeba było odmieniać konie, bo żaden gwałtownej jeździe wystarczyć nie mógł, a że i siodeł i uzd brakło, często, rzucano wór słomy na grzbiet szkapie, a sznurem pysk przeciągnawszy — dalej a dalej! Do koła, w pluchach jesieni, w szarej, smutnej osłonie chmur i deszczu, pustką przerażającą odkrywał się kraj, przez który już przeszła wszystko niszcząca wojna. Gdzieś gdzieś z dworów szlacheckich stały tylko okopcone ściany i rumowiska nieforemne, indziej posadę wiojski, rząd sterczących kominów i opalonych płotów oznaczał — pogorzelisko, lub pustynia... Po drogach leżały zdechłe konie i bydło wpół przez zwierza pożarte, a gościńce kopytami strątowane, tam i owdzie rzucone potrzaskane lawety, świeże przejście wojsk opowiadały.

Jak zbieg, przekradając się z garstką swoich towarzyszków, wódz nareszcie dobił się do nielicznego oczekującego nań wojska.

Przed niemi cicha Wisła, ciche toczyła wody, na wzgórku odrapane domostwo, poniżej wioska i drzew trocha... miejsce to zwało się Maciejowice. Na widok wodza zbiegło się, co żyło z naczelników oddziałów i otoczyło go radośnie. Ordyński, z smutnem, jak wszyscy, prawie przeczuciem, przybył na stanowisko ostateczne, ale tu widok wojska, weselsze twarze dowódców i młodzieży, niedokładne wieści,

zmniejszające liczbę ludzi i armat generała Fersena, jemu, jak innym wlały jakąś otuchę.

Maciejowicki dwór stary, murowany pałacyk na wzgórku, nad rzeką stojący, nosił także na sobie ślady przechodów wojsk i wojny; zajęto go na główną kwaterę dla naczelnego wodza i sztabu, przy którym i nasz znajdował się Ordyński. Smutny był widok tej budowy co spokojniejsze pamiętała czasy, sal, które nieraz brzmieć musiały weselem po gospodarskim znoju, izb dziś ogołoconych ze wszystkiego pustych, z porozbijanemi oknami, z na pół wyłamanemi drzwiami, potrzaskaną i popaloną podłogą, zimnych, wilgotnych, opuszczonych, jak kaplica grobowa. W górnej części dworu w jednym z pokoi wisiały jeszcze na ścianach wysoko portrety Maciejowskich i Zamojskich, ale ani jeden z nich całym nie pozostał, kawałami powyszarpywano z nich płótno, powystrzeliwano oczy, porozcinano piersi, a to pośmiertne męczeństwo znów oczy uderzało, jak jakaś wróżba złowroga. Z okien tej sali właśnie widać było obóz Fersena, szeroko rozciągnięty: ognie porozpalane pod bliskim lasem, namiot naczelnika, zielone wozy artylerji i tłum niepoliczony wojowników. Wiatr niekiedy przynosił stamtąd osłabły odgłos bijących na capstrzyk bębnow i hura! żołnierzy.

Na równinie pode dworem skupiła się w cichości garść ludu naczelnego wodza, złożona i ze starszego wprawniejszego żołnierza i z świeżej a nie znającej ognia milicji, której większa część w kosy tylko, toporki i lada jaką broń zaopatrzona była. Zdawało się, że na pierwszych najwięcej rachować było można, a drudzy ledwie lik stanowić mogli — ale któż, kiedy przewidzi jutro i zgładnie człowieka?

Całą noc prawie mało zażywszy spoczynku,

wszyscy chodzili po wzgórzu, myśląc i rozprawiając o dniu jutrzejszym, który niechybna zapowiadał potyczkę. Jenerałowie Kniaziewicz, Sierakowski, Kamiński, brygadjer Kopeć, pułkownik Wojciechowski chmurnej twarzy i nie wesołej mowy, nareszcie Ursyn, dowodzący milicją brzeską, w kupki się zbivszy, rozglądali pozycję, usiłując ciemność przeciąć okiem, a przyszłość myślą niespokojną odgadnąć. Rozmowa ich cicha, nie przerywała milczenia, wśród którego dochodził szmer obozowy i rzenie koni z równiny; na niebie ołowianem uparcie nad tą garścią wojowników krążyło z uprzykrzonym krakaniem stado czarnych kruków. Tym duszom, pragnącym przepowiedni, zesłał Bóg zwiastunów śmierci, które odezwały się, jak w starej pieśni słowiańskiej przedbojowym smutkiem.

Ordyński podniósł oczy i wskazał tę przelatującą chmurę brygadjerowi Kopciowi.

— Co to znaczy? — spytał, wzdychając.

— Zachciałeś waćpan, — odparł Kopeć, ruszając ramionami, chociaż sam splunął nie rad zjawisku — wrony na słotę kraczą; a jaki z waści tchórz!

To powiedziałwszy, zatarł ręce i rozśmiał się, choć z przymusem.

Tchórzem jednak nie był Ordyński i nieraz już dał tego dowody w ciągu lat kilku, ale teraz doznawał tego przykrego uczucia, odzierającego z nadziei, któremu człowiek całą siłą ducha oprzeć się nie umie, kiedy nań padnie z góry. Sen go nie brał, usiąść nie mógł, jakiś niepokój gnał go z miejsca na miejsce. Szczęściem zawołano do wodza i użyto go do ekspedycji pism, które znów wysyłano do Ponińskiego — przesiedział więc noc nad papierem, nie myśląc w tem odrętwieniu moralnem, dla którego mechaniczne zajęcie jest dobrodziejstwem.

Dnieć poczynano nareszcie po długiej nad miarę nocy, ruszyły się wojska w obozach, a od Fersena ozwały się o świcie bębny i muzyka, i kolumny wojsk jego wnet, jak mrowie, ruszać się poczęły, widocznie, usiłując garść na wzgórzu oszańcowującą się otoczyć, rozciąć i zewsząd osaczyć. Ordyński na pierwszy odgłos trąbki odzyskał życie, zapal, nadzieję, pchnął papiery ze stołem i ochoczo rzucił się na konia, bo już stawano do boju.

Nim się wojsko po krótkim spoczynku miało czas w porządek zebrać szyki, już Fersen ruszył, usiłując je objąć, i wielkimi działami swemi zdala dokuczać mu począł. Kule jego co chwila rozbiły drzewa i gruchotały budowle, upadające z trzaskiem, wyrwały ziemię, waliły płoty, a jedna z nich o mało nie zabiła samego wodza, świsnąwszy o kilka kroków od niego i, obrzuciwszy go wyoraną ziemią. Działa jego wojsk nielicznych, mniejszego kalibru, czekać musiały zbliżenia się oblegających, by się odstrzeliwać skutecznie; zawarczały nareszcie, gdy przyszli na cel, i poczęły utrudniać nie mało pochód oddziału Fersena, który przez błota i trzęsawiska zarzucając je faszynami, powoli ale uparcie drogę sobie torował. Ordyński, w chwili, gdy się już bój rozpoczynał w pierwszych piechoty szeregach, wysłany do jazdy pułkownika Wojciechowskiego, stojącej jeszcze i nie użytej w rezerwie, potem do piechoty brzeskiej, wciąż w ogniu, sam już rozogniony, biegał wśród rozpoczętej walki, którą co chwila sama liczba rozstrzygnąć musiała niechybnie. Na samo pierwsze wejście, potężny oddział Fersena tak dalece przewyższał garść ludu zebraną na wzgórku u dworu i równinie pod laskiem, że tylko rozpaczliwa odwaga wątpić mogła o wygranej.

We wszystkich zapał był wielki, szedł on z pier-
si wodza, który nim umiał natchnąć bliższych i roz-
promieniał się w około, ale słabł tam, gdzie wpływ
jego nie dochodził. Walka rozpoczęła ze stron obu,
wzmogła się i stała zaciętym bojem, zamięszanie
wkrótce ją zakończyć miało. Niepostrzeżono na nie-
szczęście i nie opatrzone się, aż nie rychło, że pra-
we skrzydło zostało odcięte i otoczone; gdy w tejże
chwili posłany po jazdę do Wojciechowskiego, Or-
dyński, z rozkazem, by szła do ataku, zdumiony sły-
szał od niego tę obojętną odpowiedź:

— Powiedz pan naczelnikowi, że ja mój pułk
odprowadzam do Warszawy, winienem ludzi moich
oddać w całości królowi, który mi ich powierzył, no-
ga by ich stąd nie uszła.

— Panie pułkowniku — zawołał oburzony Or-
dyński — ale rozkaz wodza! rozkaz wodza jest wy-
raźny!

— Nie myślę darmo gubić ludzi — rzekł Woj-
ciechowski, ruszając ramionami — zresztą wiedz
waćpan, że i ja także mam rozkazy. — To mówiąc,
kazał zatrzeć na odwrót i natychmiast ku Warsza-
wie cofać się począł spieszny marszem. Ordyński
nie chciał w początku wierzyć oczom, ani uszom
swoim, nareszcie przez grad kul pospieszył do wo-
dza, który stał, jak zdrtwiał, coraz smutniejsze
wiadomości odbierając od Sierakowskiego i innych
dowódców.

— Wodzu! — zawołał Ordyński — pułk ułanów
króla cofa się do Warszawy... inni za nim uchodzą!

— Na Boga, zbierajcie panowie kogo można!
płazujcie tych tchórów! — ognieście krzyknął wódz
naczelny — ja sam lecę w ogień, za mną! za mną! tu
potrzeba zginąć, ale się nie zesromocić!

W tem nadbiegł brygadjer Kopeć.

— Naczelniku! — rzekł — na miłość Boga,
uchodź, przegraliśmy na głowę, przegrali!

— Chyba ci się w głowie przewraca! Naprzód
zawołał wódz, naprzód moi panowie i jeśliśmy
przegrali — to tembardziej naprzód! Giniemy za tych,
co ginąć nie umieli!

To mówiąc, spiął konia ostrogami i rzucił się
zapamiętale w najgorętszy bój na prawem skrzydle,
a Kopeć, Drzewiecki i Ordyński poszli za nim, za-
grzani myślą pocziwej śmierci lub ocalenia wodza.

Michałowi zabiło serce, cała przeszłość mignę-
ła się różnobarwnym przed oczyma obrazem, poże-
gnanie zdaleka posłał Annie... Ale już i myśleć nie
mógł w śród huku, zamięszania i wrzawy, w której
się znajdował, tnąc i siekąc na wszystkie strony; na-
się znajdował, tnąc i siekąc na wszystkie strony; na-
gle uczuł ciepło rozchodzące się po piersi i rozle-
wające po niej, rozpiął mundur, włożył rękę i dobył
ją zakrwawioną, a w tejże chwili prawie padł na zie-
mię w raz z koniem. Kula kozacka przeszła go z pra-
wego boku.

Tak dla niego, z zamknięciem omglonych oczu,
skończyła się Maciejowicka potrzeba, a owe prze-
powiednie wieszczki, pierścienia i kruków, ziściły się
wszystkie. Najdzielniejsi, jeśli nie śmierć, to rany
ciężkie i długą znaleźli tu niewolę, a i krukowi dość
było pastwy.

Gdy oczy otworzył Ordyński, ujrzał się znowu
w Maciejowickim dworze, w sieni pustej, na garści
słomy, a przy nim krzątało się kilku oficerów rosyj-
skich, pułkownik Tołstoj, Ursyn z ręką na temblaku,
cały odarty i oszarpany, a krwią zaschłą okryty
Drzewiecki.

— Co to jest? gdzie jesteśmy? gdzie wódz? — spytał, otwierając powieki.

— Żyje! ciężko ranny! w niewoli! — szepnął Ursyn.

— Cóż się stało ze mną? gdzie ja był?

— Leżałeś na placu ranny i bez pamięci, teraz nie pora ci to tłumaczyć, daj felczerowi opatrzyć ranę, boś dużo krwi stracił.

Opowiedzieli mu potem towarzysze, jak nieprzytomny i niemal już nie żywy leżał na pobojowisku, gdy Drzewiecki z pułkownikiem Tołstoj, szukając wodza wśród trupów, plac oglądając i na niego trafili; a postrzegłszy, że żyje jeszcze, kazano go kozakom przenieść do dworu, gdzie powoli zmysły odzyskał. Rany Ordyńskiego były ciężkie, ale nie wystawiały go na niebezpieczeństwo; główną tą, którą otrzymał postrzałem w bok prawy, kula daleka może rozszarpała ciało, nie nadwierzając kości, po których się ośliznęła, stracił tylko krwi wiele. Cięty jeszcze, czy uderzony w głowę, rozbitą miał na niej skórę i w upadku zgniecioną rękę, ale razem wzięte, wszystkie te rany nie okazały się straszne.

Więźniowie wojenni dni kilka jeszcze zatrzymanii zostali w Maciejowicach, skąd Ordyński po opatrzeniu ran, wraz z innymi dostał pozwolenie zgłoszenia się do Warszawy, i choć cudzą ręką napisał do Ojca Spirydjona i do Anny, oznajmując im o losie swoim i żegnając ich, bo się spodziewał długich lat niewoli.

XV.

Zakończenie.

Minęły znowu lat kilka od opisanych wypadków. — Było to pięknego poranku jesieni, na dzie-

dziniec pustego dworu w Głuszy zajeżdżało kilka powozów upakowanych, z dalekiej widać przybywających podróży.

Jeśli sobie czytelnik przypomnieć zechce opis tego wspaniałego pałacu w pierwszych rozdziałach naszej powieści, a spodziewa go ujrzeć, jakim był naówczas, gdy króla jadącego do Kaniowa przyjmował, omyli się bardzo. Nigdzie może czas nie niszczy tak szybko, jak u nas — bo mu i klimat pomaga i ludzie. Nie do poznania był pałac ów, arcydzieło smaku, dziś budowa napozór zestarzała, z tynków odarta, z mnóstwem powybijanych okien, z drzwiami potupanymi, posztukowanymi i na nieforemne zamkniętemi skoble i kłódki.

Bruki dziedzińca i alei zarastały trawą i chwastami, wśród których pasły się swobodnie stada cieląt, świń, indyków i koni w najlepszej zgodzie, ledwie kiedy niekiedy wierzgnieniem i krzykiem przerywanej. Piękne zagrody pogniłe były i połamane, kamienne posągi pogruchotane, zzieleniały od mchów, które na nich porosły. Nawet stare ucierpiały drzewa, bo je wiatr i ludzie poobłamywali, a na lipach świeciły żółte rany, zadane przez chciwych łupu wieśniaków. Sterczały kaleki gałęzie nielitościwie poodtrącane siekierą. Owa austerja, w której wojewoda z podczaszyną oczekiwali na Poniatowskiego, była już pustką bez dachu, osmaloną i czarną, a w jednym jej tylko kątku żyd pod słomianą mieścił się strzechą.

Ale też od wyjazdu podczaszynej, od śmierci tego ducha opiekuńczego, który tu ład i dostatek trzymał w drżących rękach i błogosławił domostwu nieustanną modlitwą, nie było już nikogo, coby pomyślał o jutrze, coby się potroszczył o zachowanie pra-

cy ludzkiej i darów Bożych. Rabowali z kolei rządcy, dzierżawcy, plenipotenci, słudzy, co żyło, tak, że miejscami ze słupów parkanu cegły nabierano na piece do chat, a ogrodowem drzewem palono sobie najregularniej.

Władał tu Lebedziński na chwilę, po nim przyjechał był Cerulli do mniemanego swego dziedzictwa i przeszedł się po pustych salach, marząc o swoim państwie przyszłym, ale mu jego przeciwnik taki tumult i oblężenie wierzycieli, zastawników, woźnych i sąsiadów z pretensjami spędził, że w tydzień, jak niepyszny uciekać musiał, głowę straciwszy.

Byli później dzierżawcy, z których każdy wolał oficynę, ale pałac odzierał, bo tam nie liczone i nie spisane sprzęty, na łasce przybyszów zostające, brać się dawały bez oporu.

Brano więc, co było można, co kto chciał i żądał, aż do lepszych szyb w oknach, które gontami pozałatwiano. Odarto i blachę z dachów, przykrywając je słomą, i posadzki z sal, i zwierciadła ze ścian, pustkę powoli robiąc z wykwintnej siedziby pańskiej.

Po ostatniej bitwie Maciejowickiej, wzięty w niewolę Ordyński, poszedł z innymi więźniami przez Wołyń do głębi Rosji będąc przeznaczony, ale w Zaslaviu, staraniem mnogich krewnych i poręczycieli, uwolniony został, a następnie przez O. Spirydjona i Anusię dla wyleczenia się z ran wysłanym do wód zagranicznych. Już naówczas Głusza, choć o tem nie wiedział Ordyński, do Anny Sienińskiej należała. Lebedziński umarł był przed rokiem, Cerullego twarde okoliczności zmusiły wynieść się szybko z kraju; sprawę powierzono uczciwemu i zręcznemu

prawnikowi, który od Włocha prawo do majątności nabył za bardzo nie wielką opłatą.

Wielcy to lekarze ducha — praca, znój i nieszczerście — trudno dziś poznać było Michała, tak się na korzyść swoją odmienił.

W innem kole, znalazłszy się Ordyński i innym też stać się musiał. — Uczuł, że stoi na drodze, której się nigdy wstydzic nie będzie, a wspomnienie jej poniesie razem z pamiątkami dzieciństwa do siwych włosów i grobu. Zahartował duszę i ciało, podniósł umysł obcowaniem z ludźmi, których każde słowo tchnęło wyższem uczuciem i surowym na świat poglądem; pojął piękności ofiary, wielkość powołania ludzkiego, a w sercu odezwała się żyłka rycerska, którą tylko żywot pierwszy odrętwił na chwilę. Życie wojskowe poczęło dlań mieć urok, którego się w niem spodziewał — ta wrzawa, ten niepokój, ta niepewność jutra, boje, utarczki, długie pochody, ranki obozowe, noce na straży, uśmiechnęły się doń wdziękiem, pełnym poezji i wzniosłości. Nigdy w swem życiu pierwszym nie doznał uciech, tak czystych, a tak silnych, po którychby żadnego nie pozostało mętu. Z myślą o Anusi, z nadzieją jutra, szedł weselszy coraz, aż wreszcie pieśnią wojacką otwarły mu się usta — czuł się spokojnym, oczyszczonym, godniejszym jej i siebie. Czasem kilka słów od niej, błogosławieństwo ks. Spirydjona, przysłana przez nich, jaka rzewna a strzelista konfederacka modlitewka, rozgrzały go i sił nowych dodały.

Nieszczęściem przez tych lat kilka, choć go los razy kilka zbliżał do stolicy, choć raz mu nawet w niej być dozwolił, nie mógł zobaczyć Anny, mijał jej okno posłuszny, by rozkazu wodzów nie zdradzić. Teraz dopiero po tylu zmianach, po odrodzeniu do nowego życia, powracał wreszcie marząc, że mu już

wolno będzie spocząć i być szczęśliwym. Tysiące myśli i nowych projektów snuły mu się po głowie, ale o Głuszy dumać nawet nie śmiał. Chciał gdzieś z pomocą krewnych kupić małą wioseczkę w kątku, w lasach, na ustroniu, by już na Wołyn nie wracać. Z tem jechał do Warszawy z wód, a gdy ujrzał znów siną Wisłę i wieże stolicy i zamczysko już puste, jak gniazdo orle, z którego ostatni wróbel wyleciał, i gród co tyle pożarł jego życia; zamgliły mu się oczy westchnął dotknięty swoim i innych nieszczęściem. Konie choć biegły żywo, zdawały się nielitościwie wlec po wyciągającej się na przekorę drodze.

Spojrzawszy na most, przypomniał sobie ze łzami uroczystą chwilę, gdy tu szukał śmierci po rozpuszczeniu — nareszcie trąbka rozległa się na Bednarskiej ulicy, a Anna, nie wiem jakim przeczuciem, wybiegła przed bramę.

Czuła że on jedzie, choć poznać go nie śmiała; skoczył ku niej Ordyński i niemem uściśnieniem ręki powitał, bo przemówić nie mógł. Drżeli oboje patrząc na siebie, szukając na swych twarzach śladów lat co im zbiegły na ciężkiej próbie oczekiwania, tęsknoty i walki. Anna była zawsze tem pięknem dziewczęciem, które podczasyc w Głuszy pożegnał; ale na jej twarzy troska i niepókoj wypiętnowały także swe przejście, i ona zmężniała niemi, dojrzała, oblekła się łzą wejrzenie, uśmiech był smutniejszy, chmurką nawisło czoło białe. Michał dojrzał, postarzał może, ale odświeżył się bojem, i twarz krwią obmyta, znów się rumieńcem pokryła, tą jutrzeńką młodości.

Tak ledwie śmiejąc przemówić do siebie, weszli razem do izdebki, w której przez lat tych kilka nic się nie zmieniło. Ławy, stoliki, obrazki, wszystko to było, jak wczora. Dla nie żywych czas nie płynie.

Pani Wąhorska rozplywała się we łzach ujrzawszy Ordyńskiego.

— A O. Spirydjon? — spytał Michał.

— Biedny staruszek posunął się bardzo, ale o kiju włóczy się jeszcze — odpowiedziała Anna. — W przeszłym roku, po ślizgocie idąc do chorego nogę złamał, a że staremu i trochę niecierpliwemu do pracy trudno się było dobrze wyleczyć, jeszcze mu zostały ślady tego nieszczęśliwego przypadku.

Nazajutrz, cały wieczór spędziwszy z Anną, Ordyński poszedł na ranną mszę do kapucynów. Trafił że ją właśnie O. Spirydjon odprowadził: pokłękł i wysłuchał jej nabożnie, wspomnienia cisnące się tłumnie nie jedną łzę wywołały. Przy błogosławieństwie ostatniem poznał go widać starzec, bo mu ręka zadrzała i długo ją wyciągnioną nad głową wojaka zatrzymał.

W kilka dni potem, po mszy św. w kościele kapucynów, ten sam starzec błogosławił wzruszony Annie i Michałowi, a nauki które był dla nich przygotował, łączy mu i uczucie dokończyć nie dały.

Po ślubie, Anna oddała zdziwionemu Ordyńskiemu akt nabycia Głuszy i pożegnawszy staruszkę, który nadrabiał fantazją i uśmiechając się krzyżyki za niemi kreślił, wyjechali na Wołyn oboje.

Ze smutkiem jakimś ujrzeni przed sobą tę ruinę tylu wspomnień pełną, i łączy znowu dobyły się gdy ujrzeni straszliwe zmiany jakie wprędce czas i ludzie dokonali. Oboje z Anną pocieszali się wśród tego zniczeznia, wskazując sobie miejsca, gdzie w dzieciństwie bawili się razem, ławkę na której siadała z niemi starościna, drzewa pod którymi były ich dziecinne ogródki.

W tej bez-pańskiej pustce ledwie się dowołało

człowieka z kluczami, i weszli naprzód modlić się do pokojów starościnej.

Ani śladu bogatych sprzętów, kosztowności i dzieł sztuki. W galerji wisiało krzywo kilka ram potłuczonych, a w muzeum stał pogięty szaflik blaszany, w bibliotece trochę okładek, pulki niecałe i garściami pyłu znaleźli. Oranżerja zamieniła się w jakiś skład gratów zatęchły, tylko na końcu jej jakimś osobliwszym trafem ocalały resztki przyborów, które ustawił Labe Poincot na przyjęcie królewskie. Nikt ich z tamtąd nie ruszył. Na ścianie nawet wisiał jeszcze jeden wyschły wieniec, żółty, zapylony i szydersko zmaląły.

— Chodźmy stąd kochana Anno! — rzekł Ordynski — co przeszło nie powróci! my myślimy byśmy sobie nowe i trwalsze zbudowali jutro, lzy nasze nie odżywią tego co na wieki umarło!!

KONIEC.

MUZEUM
JIK
ROMANOWIE
4376

